Nr. 52 Rok 5 Kraków, dnia 24 grudnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



JEGO PIERWSZA CHOINKA



Port Said u wjazdu do Kanału Sueskiego.



Powyżej: Dom Zarządu Towarzystwa Kanału Sueskiego w Port-Said.

75 LAT KANAŁU

Gdy w roku 1869, jesienią, nastąpiło uroczyste otwarcie Kanału Sueskiego, sprawujący ówcześnie rządy Isma[...] basza wydobył na ten dzień ze szkatuły aż 20.000.000 franków, by uświetnić owo epokowe wydarzenie, a[...] przepychem i zbytkiem olśnić i zdumieć monarchów i książęce persony Europy, licznie ze wszechstron kontynen[...] zjeżdżające pod niebo „Czarnego Lądu".

Rzecz charakterystyczna, Anglia, widząca w doprowadzeniu do końca wiekopomnego dzieła, zdaniem lorda P[...]merstona wyraźną przeszkodę dla Wielkobrytyjskich interesów — zadowoliła wymogi dobrego tonu wydelegowani[...] jedynie swego posła do Konstantynopola, mającego reprezentować rząd angielski w czasie uroczystości.

Patrząc z perspektywy czasu na tę rozrzutność gestu baszy, chciałoby się obecnie powiedzieć, że owe 20.000.000 [...] stanowiły tylko godną oprawę obrazu przyszłych korzyści, jakie stały się udziałem ogółu państw i narodów [...] chwili [illegible] drogę wodną morza Śródziemnego z Czerwonym. Ponad 30.000.000 fr. rocznie wynosiły wpły[...] Towarzystwa za tranzyt okrętowy a kapitał włożony w dzieło zamortyzował się w ciągu niespełna 20 lat.

Myśl przekopu od morza do morza, przekopu 160—170 km długiego, nie dawała już starożytnym spokoju. Fara[...]nowie starali się myśl tę urzeczywistnić, jak świadczą o tym hieroglify w świątyni Karnak powiadające, iż Fara[...] Seti I w r. 1400 ante Chr., więc na 3200 lat przed XIX wiekiem, przepływał w powrotnej drodze z Azji sztuczn[...] przekop, będący kanałem słodkiej wody między Nilem a słonymi jeziorami arabskiej pustyni. Nad rozszerzeniem tego kanału pracowano za Faraona Neko II, ale robót poniechano skutkiem wyroczni o korzystaniu później z kanału przez „barbarzyńców". Za Ptolomeuszów podjęto przerwane prace na nowo, ale ówczesny świat hołdo[...] karawanom. Kanał miał tedy tylko znaczenie arterii nawadniającej.

Potem minęły wieki aż znów odżyła idea kanału w erze walk narodów, za Napoleona.

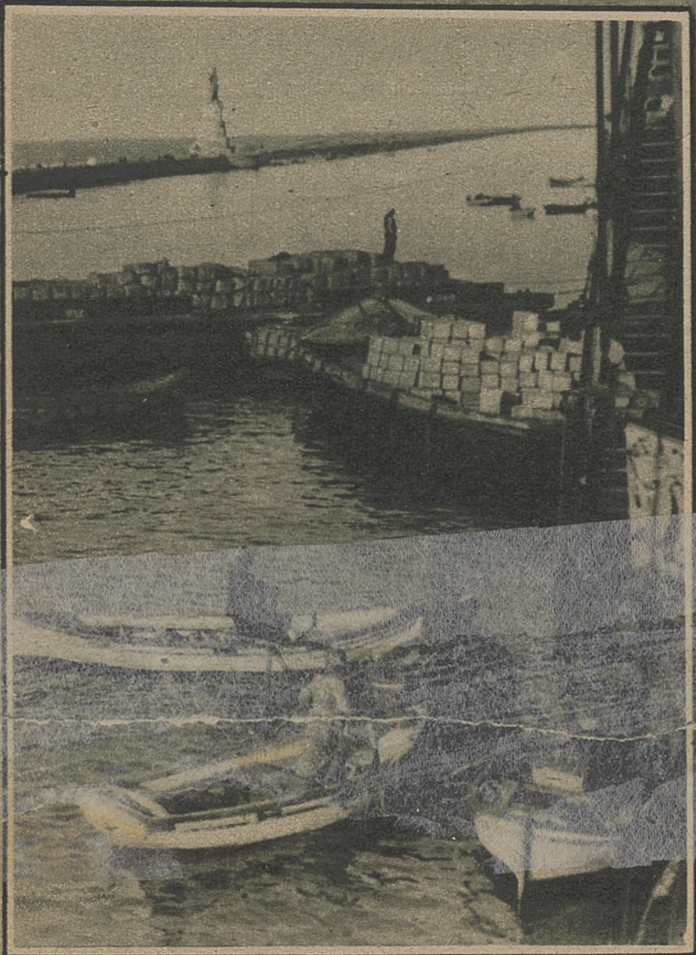
Na odeszłych w cienie przeszłości twórców tej idei spoglądały kiedyś majestatyczne piramidy, patrzały zagadko[...] [illegible] Sfinksy... Woli potrzeba było niezłomnej Czynu i siły Wytrwania!

Kardynał Richelieu był również gorącym zwolennikiem budowy kanału, ale angażowanie poważnych sum w ryzy[...]kowne bądź co bądź przedsięwzięcie jakoś nie dochodziło do skutku. Dopiero wyprawa Napoleona do Egiptu w rok[...] 1798 zmieniła do gruntu zapatrywania na kwestię budowy kanału. Uznano wówczas ostatecznie „pożyteczno[...] zaistnienia takiej drogi, gdyby była" — poznawszy trud marszów i dowozu zaopatrzenia dla 30.000 armii po zdobyc[...] Aleksandrii i Kairu przez pustynne okolice ku Syrii.

Ale badania wstępne nad sprawą przekopu utrącił z miejsca inżynier Lepere — wykazując mylnymi obliczenia[...] znaczną różnicę poziomów mórz Śródziemnego i Czerwonego.

Sprawa Kanału Sueskiego ustępuje miejsca wydarzeniom wewnętrznym Francji, drugiej koalicji i objęciu godno[...] pierwszego konsula przez Bonapartego w r. 1799.

Dopiero w 38 lat po wyprawie do Egiptu, w r. 1836 głośną stała się idea przekopu w Afryce, bo badania tereno[...] podjęto od nowa na skutek poszukiwania możliwych dochodów dla państwa znękanego upadkiem „Boga Wojn[...] i Rewolucją 1830 roku. Teraz to, badania inżyniera Negrelli i Lesseps'a miały zadecydować ostatecznie o rozpoczę[...] wstępnych robót nad przekopem. Lesseps wykazał błędne obliczenia Leper'a i po przedyskutowaniu wielorazowy[...]

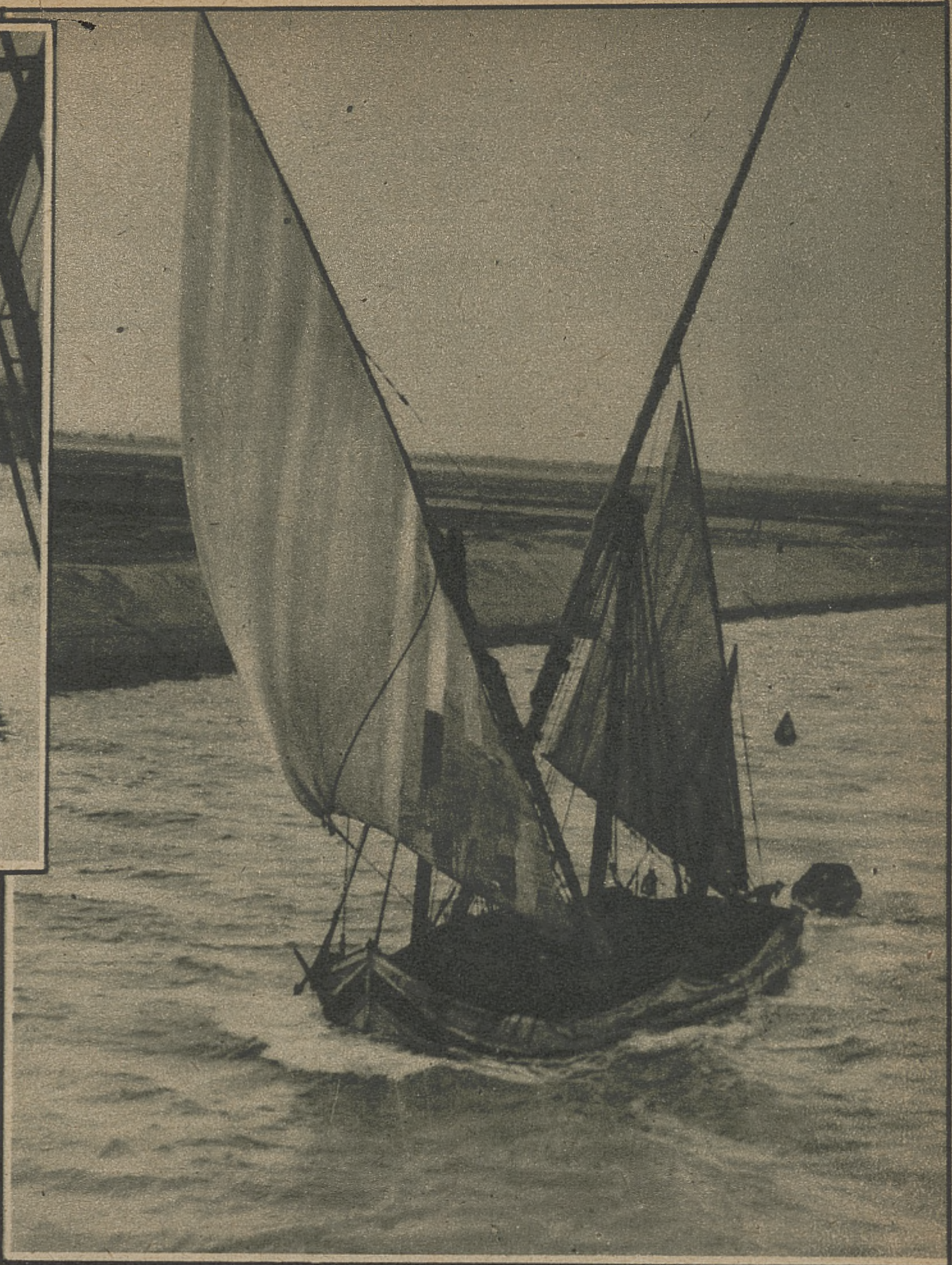


Powyżej: Port Said nie tylko posiada znaczenie jako punkt początkowy drogi przez przekop Sueski, ale jest ważnym ośrodkiem przeładunkowym, połączonym z Kairem linią kolejową o dużym znaczeniu handlowym.



Łodzie „pustynne" mijają parowiec na Kanale Sueskim.





Powyżej:
Spotkanie na Kanale Sueskim.

Na prawo:
Tubylcy używają również Kanału jako wygodnej drogi wodnej. Oto egipska żaglówka, zwana Dhau.

Fot: Eurofot

sprawy w rządowych kołach Francji, po odleżeniu się jeszcze planów budowy w gabinetach ministerialnych do roku 1859, dla braku funduszów i źródeł kredytu — w kwietniu tego roku, za zgodą Saida Paszy poszły w ruch łopaty pod portem Said.

Rząd egipski zaciągnął pożyczki i dał w zastaw finanse kraju urzędnikom europejskim, skarb egipski mającym na czas zobowiązań kontrolować. Ofiarowała się z pomocą finansową i Anglia, nasławszy sztab funkcjonariuszów skarbowych, mających za zadanie wywołać represjami podatkowymi niezadowolenie i rewoltę w Egipcie.

Gospodarka urzędników europejskich doprowadziła istotnie do krwawych rozruchów w Egipcie, ściągając niosących „pomoc" rządowi Egiptu Anglików z wojennymi okrętami.

Aleksandria została zbombardowana, Egipt okupowany i Kanał Sueski ukończony w roku 1869 jeszcze, przeszedł pod zarząd Wielkiej Brytanii. Oto po krótce dzieje dzieła geniuszu ludzkiego, kanału-przekopu, skracającego drogę morską z Europy do Indii — Afrykańskiej „Bramy Narodów".

O rozwoju znaczenia Said'u i Suezu nie potrzeba mówić chyba. Nie ma ludu w Afryce i Azji, który by nie miał w nich swych przedstawicieli. Co do samego Kanału, istnieje szereg skomplikowanych umów i zastrzeżeń międzynarodowych. Zasadniczo — punkty wejściowy i wyjściowy, zatem Said i Suez są „de nomine" egipskie, choć w praktyce całkiem to inaczej wygląda.

Faktem zostanie, że Kair, Aleksandria, Port Said, Suez, Massua, wszystkie te miasta zawdzięczają gwałtowny swój rozkwit Kanałowi Sueskiemu, tranzytowi wodnemu narodów świata o jedynym w dziejach znaczeniu.

SUESKIEGO

Poniżej:
Pomnik Waghorn'a u ujścia Kanału do Morza Czerwonego, obok Suezu.





Zachodnim brzegiem Kanału biegnie linia kolejowa z Portu Said do Kairo, obok niej zaś wzorowo utrzymana autostrada. Ta zachodnia część pustyni stała się dzięki sztucznemu nawodnieniu urodzajną i ożywioną zielenią oaz.



...aki nadbrzeżne Kanału, zarówno stacje linii Port Said— ...z jako też i wojskowe punkty kontrolne z wyposażeniem radiowym.



...an z wielu pogłębiaczy w służbie ochrony Kanału przed ...większym jego wrogiem — lotnym piaskiem pustyni; rury ... na pontonach wydobywają szlam z dna Kanału, by ...ale utrzymać pożądaną głębokość przejazdu.





Gest dłoni **Hansa Steinhoffa** mówi aż nadto wiele... Trzeba by nie jedno zmienić w scenariuszu; rozumie to dobrze każdy patrzący na reżysera.

RĘCE KTÓRE MÓWIĄ

Zaczarowany świat filmu, przecudna baśń rojeń tylu, tylu serc, tak gorąco pragnących zostać artystami srebrnego ekranu, mieć sławę „gwiazd", być podziwianymi, znanymi szeroko, uwielbianymi...

Ideałami są bądź to bohaterscy amanci, bądź to demoniczne „wampy", typy historycznych postaci, odtwórcy i odtwórczynie obrazów o zabarwieniu lirycznym, rzewnym, uczuciowym.

Tłumy wielbicieli i wielbicielek z całego świata ślą co dnia, co chwilę, myśli swe i marzenia w oślepiający blask „jupiterów", w szum biegnącej w aparaturze taśmy, w tajnie wytwórni filmowych bo tam żyją, mają swe radości i smutki, zdobywają rozgłos i schodzą w cień mistrzowie czy mistrzynie wielkiej sztuki, jaką stało się kino w swym dynamicznym rozwoju, najnowszej z Muz...

Ale, by ta czy inna filmowa diwa, ten lub ów artysta ekranu zdobył powodzenie, stał się wziętym, wieleż pracy nad nim poświęcić musi ktoś drugi, o kim nie myśli się nawet, patrząc na wijącą się w mroku kinowej sali promienną bajkę — kto jest opiekunem, przyjacielem, protektorem artystycznego zespołu wytwórni; — to reżyser, czuwający bezustannie nad całością prac związanych z powstawaniem filmowych przebojów i arcydzieł. Całą swą duszę, wszystkie swe siły wkłada on bez reszty w trud żmudnych prób, długich omawiań poszczególnych scen, szczególnych sytuacyj, odgrywanych później już w dekoracjach, w charakteryzacji, w kostiumach, przed nic nie przeoczającym obiektywem puszczonej w ruch kamery...

Reżyser **Willy Forst**, obserwując z ubocza przebieg filmowanej sceny daje grającemu rękoma znak, zapewne dobrze przez artystę zrozumiały.





Wkole: Zamaszystym poderwaniem rąk uprzytomnia swoim pupilom przed kamerą reżyser **R. A. Stemmle** nadchodzący brawurowy moment sceny.



Na prawo: Wszystko w porządku się odbywa **Wolfgang Liebeneiner** z gestem cichego zadowolenia śledzi chwilę kulminacyjnego punktu rozgrywającej się akcji.

Na lewo: **Gustaw Ucicki** wydaje się nie być zadowolonym z pewnych niedociągnięć grającego zespołu. Można z miny jego sądzić, że pewnie poleci kręcić scenę raz jeszcze.



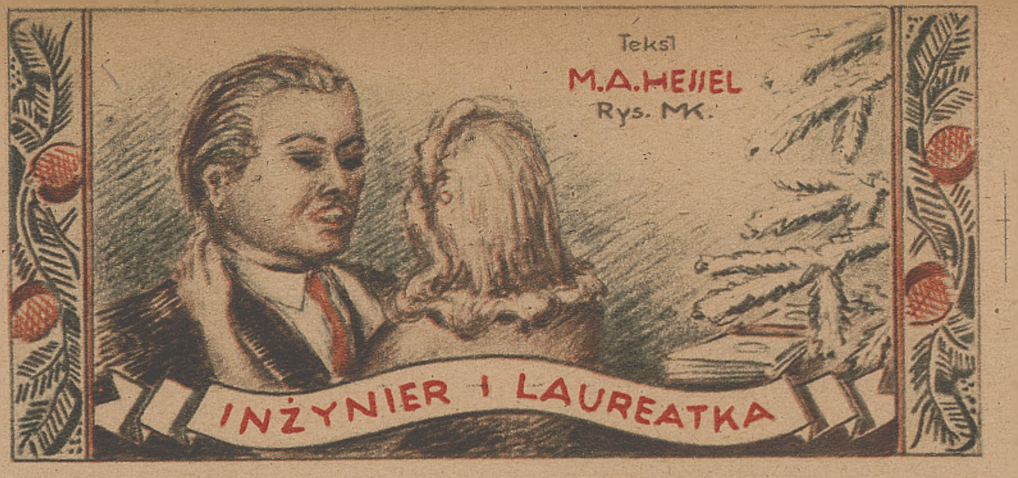
Na prawo: Ręka **Herberta Maischa** poprawia zza bocznego kulisu nieco nienależytą pozycję grającej artystki.

Poniżej: „Uwaga! Nadchodzi najważniejszy moment!" — woła najwymowniej podniesiona ręka **Wiktora de Kowa.**

Poniżej na lewo: Dłoń **Karola Frölich** wskazuje na pewien umiar i powściągliwość w wyrażaniu odgrywanych uczuć. Gest ten podświadomie podchwyciła oglądająca obok niego nagrywany fragment Zarah Leander.







Dokończenie

Był wieczór 21 grudnia. Za oknami świstał wiatr, przyszła odwilż, deszcz drobny a dokuczliwy żałośnie brzęczał na szybach. Zygmunt otworzył gazetę w bolesnym pragnieniu, z tłukącą się w sercu rozpaczliwą nadzieją, że może... wreszcie... w tym samym miejscu, co zwykle... jakieś słowa najdroższe, wzywające... Od kilku dni nie czytał nawet prasy.

Z dziwnym uporem lęku długo trzymał ostatnią przed tym „miejscem" stronę, jakby dłużej chcąc zatrzymać złudzenie. Wreszcie z szelestem strona dziennika opadła — Zygmunt krzyknął:

Ze środka stronicy patrzyła ku niemu najdroższa, utęskniona twarz, jej twarz...

Formalnie rzucił się na gazetę. Była sprzed czterech dni. Pochłaniał oczami olbrzymie tytułówki i teksty, tłoczone tłustym drukiem. Laureatka! Małgorzata otrzymała Państwową Nagrodę Literacką za powieść. Na długich szpaltach powtarzało się stokrotnie w rozmaitych odmianach imię i nazwisko ukochanej kobiety. Wychwalano pod niebo talent, inteligencję, i wszystkie możliwe zalety znakomitej pisarki. Cała niemal reszta dziennika, prawie połowa, poświęcona była jej. Artykuły, felietony, wywiady. Najwyższe odznaczenie, Państwowa Nagroda w trzydziestym czwartym roku życia — kobiecie —: był to wypadek naprawdę rzadki.

Nadzieja w jednej chwili płomieniem objęła całe jestestwo Zygmunta. Więc ta sprawa i związane z nią czynności, formalności, tak absorbowały Matę szereg dni! Ostatecznie... powód ważny!

A jednak — jednak ból szalony i coraz większy wzbierał w duszy Zygmunta, niemal dech mu tłumiąc.

Cóż znaczył dla niej? Nie podzieliła z nim — z nim najpierwszym — tej bezwątpienia największej dla niej radości! Otoczona sławą, nagrodzona, bogata i niezależna już zupełnie, wpadła po skronie w swoje życie, w swój żywioł, w których dla niego nie było miejsca. Nie było nawet myśli. Zerem był w jej życiu i zerem pozostanie. Przecież musiała wiedzieć o zajściach w Towarzystwie, ona — należąca do zespołu redakcyjnego pisma, które doniosło o pożarze. I nie zareagowała. Nie zatroszczyła się, czy żyje... Nie raczyła nawet odpisać na list pełen miłości i cudownych planów na przyszłość, chociaż sama ten list sprowokowała.

— Oto kobieta! nieśmiertelna kobieta, prawdziwa, bez domieszki! Ależ ja jestem głupcem, starym głupcem! Jak ja mogłem się łudzić? wierzyć, przypuszczać, że ona istotnie dopuści mnie do swego świata! Ot, kaprys. Nasyciła się — i ma dość!! — myślał napozór obojętnie, a w istocie niemal bliski obłędu. Wspomniał jej oczy pełne słodyczy i wierności, jej słowa pełne cudnego pokornego szczęścia po chwilach najdroższych pieszczot! Ujrzał ją przed sobą jak żywą, całą, drobną i smutną, zamyśloną — najdroższą, najbliższą, tak okropnie, tak straszliwie — swoją!

Od razu wszystko „wzięło w łeb"... i ambicja i miłość własna — i pretensje, gorycz, nieufność i żal. Wiedział jedno: że bez tej kobiety żyć nie potrafi i w ogóle szkoda każdego słowa.

— W każdym razie absolutnie wypada mi przesłać jej gratulacje! — oszukiwał sam siebie. Postanowił napisać list niezbyt długi, w miarę serdeczny, w miarę ostrożny — i wysłać dla pewności polecony.

Usiadł szybko przy biurku, gwałtownie wydobył drżącymi nieco rękami blok korespondencyjny, ułożył na biurku, otworzył. Na samym wierzchu leżała zaklejona koperta.

— Co to? — obejrzał kilkakrotnie, obrócił w palcach, rozdarł.

...momentalnie zbielał jak trup. Potem fala krwi buchnęła mu do mózgu. Potem znów stał się po prostu szary. List upadł na podłogę.

„... ... ...pożar, panie inżynierze! szyb „Liliana" w płomieniach... ..."

Siedział przez chwilę, jak martwy, nie zdolny poruszyć się ni odetchnąć. Miliony szpilek kłuły go w mózg, w żyłach palił płomień, przed oczyma wszystko zmętniało i zlało się w bezbarwną bezkształtną masę. Myśli szalone, desperackie, biły o jego świadomość jak wściekłe fale morskie biją o brzegi.

Nagle jakby oprzytomniał. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut dwunasta: za dwanaście minut odjeżdża ostatni pociąg, dający połączenie do pospiesznego.

— Klimek!!! — wrzasnął Zygmunt, aż zadrgały szyby. Porwał pieniądze i szybko wsunął do portfelu. Runął ku szafie, porywając kapelusz, teczkę, płaszcz.

Klimek wpadł we drzwi.

— Jadę! Do pani! Zawiadom na kopalni! Wracam po świętach!

Nie pożegnał się nawet z osłupiałym sługą i wypadł na uliczkę. Począł biec całym pędem na przystanek kolejowy.

*

O świcie znów chwycił mróz. Deszcz ściął się w duże śniegowe płaty. Gdy Małgorzata rano 22 grudnia podniosła się z łóżka i zwinęła story, do okien tuliły się oślepiające, puchate czapy. Śnieg wirował i opadał na białe dachy, ścielił się świeżą pokrywą na brukach i jezdniach.

Mata zmrużyła oślepione białością śnieżną oczy, zbolałe, zapadnięte i podkrążone. Ostatnie dwa tygodnie poczyniły w jej delikatnym organiźmie więcej spustoszenia, niżby to uczyniła ciężka choroba. Twarz jej zmizerniała i zbladła, podkrążone sinymi łukami oczy lśniły się suchym, niedobrym światłem, jakby ją pożerała wewnętrzna gorączka.

Milczenie Zygmunta było dla jej miłości i ambicji ciosem tym straszniejszym, że w ostatnim swym liście wyraziła wreszcie zgodę na prośby i projekty małżeńskie „Ziutka".

— Oto mężczyzna! Wzdycha do gwiazdy, a gdy gwiazda nareszcie spadnie z nieba do rąk — ucieka!

Zraniona godność kobieca przyprawiała Małgorzatę po prostu o utratę zmysłów. Szydziła sama z siebie, tysiąc razy na dzień wyrzucając sobie swoją decyzję i ów idiotyczny list.

— Zachowujesz się jak gęś . . . — smagała cynicznie samą siebie. — Dobrze ci tak! Mało miałaś doświadczeń? Mężczyzna był — jest — i będzie zawsze jednaki!

Chwilami miejsce cynizmu i szyderstwa zajmował ból. Ból ten był tak bezmierny, że Mata załamywała się cała — i porywał ją szloch rozpaczny, bezradny. Im więcej i silniej niegdyś przełamywała swą nieufność, tym straszniejszy był teraz zawód, tym głębsze upokorzenie.

A przecież przytoczyła na usprawiedliwienie swego „Ziuta" wszystko, co mogła. Pożar . . . Katastrofa, która dla niego, kierownika technicznego kopalni, automatycznie pociągała za sobą największe nasilenie pracy i odpowiedzialności. W niemniejszym stopniu był zagrożony, bo przecież w chwili wybuchu mógł znajdować się na którejś z wież. W lęku o niego, już po fakcie, gdy notatki reporterskie zobaczyła w Redakcji, zatelefonowała na kopalnię, bo wieczorem dodzwonić się nie mogła do jego mieszkania — aparat był zajęty . . . Ktoś odpowiedział wówczas, na kopalni, że inżynier zdrów jak ryba i nie poniósł najmniejszego szwanku. Uszczęśliwiona wiadomością prędko odłożyła słuchawkę, nie zdradzając swego nazwiska. Zatem wypadek i zrozumiały chaos zajęły czas Zygmuntowi . . .

Ale potem dni płynęły jeden za drugim, kopalnia wróciła jako tako do poprzedniego spokoju, a list nie przychodził.

Mata przypomniała sobie treść swego ostatniego listu, zgodę na ślub po Nowym Roku, na spędzenie świąt u matki, na różne inne cudowne „projekty" . . . — i miała uczucie, że lada sekunda zwali się trupem na ziemię.

Tak minęły dwa tygodnie nadludzkiej męki. Od wszystkiego gorsze oczekiwanie, tysiąckrotne na dzień przerzucanie się od skrajnej rozpaczy do rozpaczliwej nadziei — formalnie zniszczyły Małgorzatę, wrażliwszą od wszystkich innych kobiet. To znów nachodziły ją momenty dojmującej, palącej tęsknoty. Pamięć nasuwała jej ze złośliwym jakimś uporem jego oczy dobre i wierne, podobne do dwóch błękitnych pereł . . . jego usta gorące i chciwe, jego słowa, spojrzenia i pieszczoty . . . Czy możliwe, by ktoś umiał aż tak kłamać?

Stracić na zawsze te oczy, te usta i dobre ręce — wydawało się jej czymś wprost niemożliwym. Jak żyć potem? jak żyć . . . Były chwile, w których chciała wszystko w sobie zabić i zgłuszyć, wszystko rzucić — a pojechać tam, spojrzeć prosto w oczy prawdzie i — jemu!

I tak walczyła, zmagała się, łamała, aż wreszcie przyszło na nią odrętwienie, przez które nie przebijały się już do jej świadomości żadne wrażenia.

Jak grom spadła w tę zabójczą martwotę wiadomość o przyznaniu jej najwyższej nagrody literackiej. Cały dzień dźwięczał w Redakcji telefon. Gabinet redakcyjny roił się od ludzi, biurko zasypały formalnie telegramy oficjalne i prywatne oraz poczta gratulacyjna. Wtedy właśnie nareszcie pękło coś w niej i porwał ją płacz tak szalony, że mało jej nie zabił. Potem znoszono kwiaty — kwiaty — kwiaty. — Od kolegów, od rodziny, przyjaciół, krewnych, od wielbicieli jej talentu. Tylko od „niego" nie było nawet suchej łodygi . . . od Ziutka . . ., od niego nie było ani telefonu, ani telegramu, ani listu — ani jednego słowa.

Małgorzatę chwyciła wprost furia wstydu i bólu. Miała ochotę wszystkie kwiaty wyrzucić za okno, telegramy deptać i drzeć. Straszliwa prawda nie po raz pierwszy w życiu uderzyła ją w głowę jak zaciśnięta pięść: pustka! Pustka kompletna i jałowa. Wszystko jest kłamstwem! Tylko miłość jest prawdą! Mata wiedziała z bolesnych doświadczeń przeszłości, że wiele przecierpieć przyjdzie, nim twórcza praca stanie się znów jedyną treścią życia, by starczyć za wszystkich i wszystko . . .

Wierna stara Dresia odczuwała każdym swym macierzyńsko-niewolniczym nerwem stan duszy swojej „gołąbki". Burzyło się w niej wszystko. Gotowa była jak groźna Amazonka choćby z miotłą wyruszyć na każdego, kto ośmieliłby się uczynić krzywdę Małgorzacie. A przecież Dresia przepadała za Zygmuntem i radością przejął ją fakt, że ze swoją „gołąbką" nie rozstanie się do śmierci, co Zygmunt osobiście jej przyrzekł.

Dreptała po domu zafrasowana i chrząkająca, pełna głuchej złości. „Gołąbka" nie jadła nic — Dresię brała rozpacz.

— Jak tak dalej będzie, to pani zmarnieje na amen! — oburzyła się wreszcie. — Słyszanaż to rzecz, by o jednego chłopa tyle sobie robić zgryzoty?

— Wyjdź stąd! wyjdź natychmiast!! — wybuchnęła Mata. Do krwi samej zabolało ją, że Dresia wszystko odgadła.

Dorota stanęła, jak słup, zdumiała, długo przypatrywała się Małgorzacie — i wyszła. A w kuchni stare oczy zaszły łzami . . .

. . . Aż przyszedł dzień 22 grudnia. — Pojutrze wigilia! — myślała Małgorzata. — Zygmunt miał przyjechać we wigilię rannym pociągiem i zabrać ją do matki, mieszkającej o trzy godziny jazdy koleją. Matka znała ją tylko z opowiadań i z fotografii. Nastawiona odpowiednio przez syna, po prostu przepadała za przyszłą synową.

I oto wszystko rozwiało się, jak mgła. Miraże cudownej przyszłości zgasły. Małgorzata, na którą święta Bożego Narodzenia działały niezwykle silnie, jak na każdą wrażliwą duszę, czuła że chyba zadławi się wigilią. Lecz poza tym nadchodzące święta stały się jej obojętne, jak wszystko na świecie, jak ta Nagroda Państwowa, jak te świąteczne numery wydawnictw, w których nie było na szpaltach jej prac. Ani jednej! Od dwóch dni w ogóle nie była w Redakcji, nie miała ani ochoty, ani sił.

Ostry, natarczywy, dziwnie uparty dźwięk dzwonka w przedpokoju zbudził Małgorzatę z odrętwienia. Spojrzała na śliczny niklowy budzik (dar „Ziuta"): dziesiąta. — Kto to może być? Czyżby coś zaszło w Redakcji?

Już dłuższą chwilę stała Małgorzata przed lustrem, rozczesując włosy. Ubrana w cienki jasny szlafrok długi do samej ziemi, ramiona uniosła nad głową jak ptak skrzydła. Ramiona te znieruchomiały razem z grzebieniem w palcach, bo w przedpokoju rozległy się jakieś głosy podniesione i silne, jak sprzeczka, potem w pokoju obok rozległy się czyjeś spieszne kroki, drzwi otworzyły się niecierpliwie i w progu stanął Zygmunt.

Prosto z dworca pobiegł do Redakcji, gdzie powiedziano mu, że Małgorzata od dwóch dni nie przychodzi. Pognał na złamanie karku do jej mieszkania, pełen, najgorszych przypuszczeń — i oto miał ją przed sobą. W pobladłej wymizerowanej twarzy było więcej zdumienia niż przestrachu. Patrzyli na siebie wzajem, nie mówiąc nic.

Na jej widok opuściła go pewność siebie i ten rozpaczliwy tupet, z jakim wpadł do jej sypialni.

— Czy to ona? Małgorzata?

Każda sekunda dwóch ostatnich tygodni wypisana była na jej twarzy. Wzruszenie i cześć odebrały mu mowę. Stał, przymknąwszy drzwi za sobą, a w jego twarzy, spojrzeniu i postawie była tak nadludzka pokora i miłość — że filozofią serca, najlepszą z wszystkich filozofii świata, odgadła natychmiast, co zaszło. Nie mogła tylko domyślić się szczegółów. Ale wiedziała już, że on czekał — tak jak ona, że cierpiał — jak ona, myślał tak samo — jak ona i że przyjazd o dwa dni wcześniej spowodowało właśnie nieznane jej jeszcze „wyjaśnienie" sytuacji.

Oblał ją różowy, pastelowy rumieniec. Twarz jej poczęła zmieniać się, oczy grać i rozświetlać się szczęściem. W jednej chwili pojęła, jak niesprawiedliwie osądzała i jego i — siebie. W jej spojrzeniu była błagalna prośba, by przebaczył, że zwątpiła . . . że cierpiała . . .

Odczytał z tych oczu i zrozumiał wszystko do najsubtelniejszych akcentów. Uśmiechnęła się . . .

Skoczył ku niej jak tygrys i chwycił ją w ramiona. Zarzuciła mu ręce na szyję. Drżała w niej każda kropla krwi i falował na niej każdy milimetr skóry. Jakaś ciepła, otulająca i miękka zasłona spadła na wszystko. Czuła jego usta na skroniach, na oczach i twarzy, na ustach i tętniącym pulsie za uchem. Potem jak gwiazdy przez mgłę przebiły się przez ów srebrzysty tuman poszczególne słowa z tego, co on mówił:

. . . list. Odpowiedź. Telefon . . . pożar!! pożar!!! Cztery dni i noce. Tydzień — drugi — . . . „czekałem na list od ciebie" . . . Gazeta. Nagroda!

— Nagroda? Jaka nagroda? — przemówiła wreszcie.

— Państwowa Nagroda Literacka! Zostałaś przecież nagrodzona! Przeczytałem! Gdyby nie to . . .

— Ach, tak! Rzeczywiście! Dostałam najwyższą nagrodę państwową! — mówi Mata wesoło. I nagle zaczyna się śmiać, śmiać na cały głos, serdecznie, swawolnie . . .

. . . cóż bowiem znaczyły wszystkie nagrody świata, łącznie z nagrodą Nobla, wobec faktu, że on jest tuż, że tak cudownie całuje . . .

Palcami lewej dłoni ujął w przegubach obie jej drobne ręce i przyciskał do ust paluszek z zaręczynowym pierścionkiem.

Jak kotka otarła się twarzą o jego twarz i miękkim ruchem wgarnęła się w jego usta, w jego ramiona i serce.



W noc wigilijną

O, jakże dawno to było
— lat dwa tysiące wnet, wiecie? —
gdy się w Betlejem rodziło
małe, maleńkie dziecię!

Gdy Bóg kształt ludzki wziął na się
i boską wzgardziwszy siłą
nadboskiej podjął się pracy:
w człowiecze serca wsiać miłość!

Wstąpił w ciałeczko znikome
w mdłe, słabe ciałko dziecięce
choć gwiazdy, słońca, księżyce
jak groch mógł sypać przez ręce.

I nie gdzie złoty gmach wznieśli
mocarze, wybrał posłanie:
on przyszedł na świat u cieśli
w stajence cichej na sianie . . .

Zadrżeli z dziwu anieli,
w kościelne jęli bić dzwony:
„Pan zstąpił między ziemiany!
w skończoność zszedł Nieskończony!!"

Zadrżeli z dziwu anieli,
zagrali wieścią w organy:
— „Od dziś wam będzie weselej,
kochania śnieg was wybieli!!"

Więc biegli hurmą pasterze
i serki nieśli mu świeże,
zaś króle znieśli Mu oło
mirrę, kadzidło i złoto . . .

Człowieku, wieczny idioło,
cóż Mu ze sera czy chleba?
Na świat nie przyszedł po złoto:
twojego serca Mu trzeba!

Jaśniej na świecie nie będzie,
złość życia w proch się nie skruszy,
dopóki tylko w kolędzie
Bóg się nam rodzi, nie w duszy.

Wacław Kwiatkowski



CHOINKA

Janina Jagodzińska

Mały Włodziu od tygodnia chodził z posmutniałą twarzą. Tatuś nie obiecywał mu choinki. Nie było pieniędzy. Bieda coraz bezlitośniej ukazywała ótchłanie beznadziejnych zmagań z trudnościami bytu. Umiejętność unoszenia się wciąż na fali sprytem ludzi o giętkich sumieniach, niewybrednych sposobach zarobku — nie leżała w naturze pana Stanisława Wieniawskiego.

Wyznaczył sobie prostą drogę i nie chciał jej stracić z oczu w labiryncie innych dróg na szlakach możliwości.

A może nie miał dość siły, by wyjść przeciwnościom naprzeciw? Może nie miał tej energii, by walczyć z prądem, by nadludzkim wysiłkiem stworzyć sobie warunki możliwej egzystencji. W ogólnej idei zdobywania chleba, wydzierania go po prostu z gardzieli skąpego losu — nie umiał wziąć udziału. Mógł tylko pracować i cierpieć.

Bezradnie patrzył, jak żona podjęła walkę o byt. Wiedział, że kładzie w nią ostatnie swe siły, że... zdrowie swe waży na szali trudów i udręki. Bladość mizernej twarzyczki jedynego synka, chmurą osiadła na jego czole; z każdym dniem coraz bardziej przytłaczała wijącą się w mękach bezsiły — duszę.

Z bólem stwierdził, że synek posmutniał w ostatnich czasach i przybladł bardziej. Dziś siedział skulony przy piecu i tępo patrzył przed siebie. Wyraz smutnego zamyślenia zastygł wśród drobnych rysów.

— Tatusiu, czy ja naprawdę nie będę miał choinki? — rzucił znienacka pytanie drżące całą gamą niepewności i wyrzutu.

Ojciec drgnął. Głos ten ukłuł go w serce bólem tak niespodziewanym i mocnym, że wszystko nagle zawirowało w nim, jakby zerwała się jakaś tama trzymająca dotąd nerwy na uwięzi.

Z głębi duszy wstawał bunt — —

Przypływała nieuchronnie i szybko wezbrana fala potężnego gniewu na los — na życie... na własną bezradność, na beznadziejność lepszego jutra.

Błyskawicznie prysła apatia, a w głębi jaźni wyzwalała się tkwiąca pod kurzem przygnębienia — energia.

Spojrzał na synka. Z rozpaczą zanurzył się w głębi jego zogromniałych pytaniem źrenic i nagle poczuł niepohamowane pragnienie ujrzenia w tych podkrążonych oczach błysku radości — w tych bladych, zsiniałych ustach promienia szczęśliwego uśmiechu.

W przypływie ojcowskiego uczucia przycisnął to wątłe istnienie do serca; zagarnął go w oplot ramion i tulił długo... długo... a w drżących wargach łamały się wzruszeniem słowa:

— Będziesz miał, synku, choinkę. Tatuś ci zaraz przyniesie... ubierzemy ją ładnie i synek się będzie cieszył, prawda?

— Ach, tatusiu! Najlepszy, kochany tatusiu, — wśród łez szeptał mały Włodziu — ja się tak cieszę... tak bardzo się cieszę, i... tak bardzo, bardzo cię kocham! — ściskał drobnymi rączynami ojcowskie ręce.

— Mój ty mały, biedny dzieciaku... jesteś dla mnie wszystkim na świecie! A... nie będziesz się bał zostać sam w domu? Chciałbym już wyjść, a mamusia jeszcze nie wróciła.

— Nie, nie, nie będę się bał wcale — zapewniał gorąco. — Zostaniemy razem z Puszkiem, — spojrzał na białego szpica śpiącego w kącie. — Prawda Puszek?

Pies na głos swego imienia zaświecił węgielkami oczu, poruszał ogonkiem i przyskoczył do dziecka.

— Z Puszkiem na pewno nie będę się bał. Idź, tatusiu, to prędzej wrócisz. Ja sam zaczekam na mamusię.

Ojciec ucałował jeszcze raz synka i wyszedł pośpiesznie, a w oczach niósł obraz dziecięcej twarzyczki zarumienionej ożywieniem.

Rzeźko podążał białym szlakiem szosy, a skrzyp śniegu pod stopami snuł się za nim, jak czyjaś bliska obecność.

Siarczysty mróz błękitnawym oparem owiał przestrzeń — zastygł w powietrzu i tamował oddech.

Po chwili minął ostatnie zabudowania miasta — drżący, odległy puls gwarnych ulic trwał jeszcze przez moment... zamierał powoli. — Począł zagłębiać się w pustkę ośnieżonych, bezkresnych pól. Błękit i biel na krawędzi horyzontu obejmowały siniejącą w oddali — chmurkę lasu. Miasteczko położone w dolinie zniknęło szybko sprzed oczu. Pozostał sam jeden, jakby zawieszony między niebem a ziemią. Miarą samotności były nowe zupełnie nieznane, a może tylko zapomniane myśli? — Szybki rytm kroków głuszył się wśród śniegu.

Dziwnie daleki wydał mu się w tej chwili świat, obecne życie, trudy, kłopoty, długotrwałe przygnębienie.

Oddychał pełną piersią, prostował przygarbioną postać. Czuł we krwi przypływ energii, nową chęć do innego życia, nieprzeparte pragnienie zrzucenia z siebie przygniatającej apatii.

Chciał wyzwolić się przemocą spod jarzma ciągłej nędzy, ciągłego zmartwienia o kęs chleba. Wiedział, że musi coś postanowić, coś przedsięwziąć.

Jak wyrzut stanęła mu przed oczami wiotka postać żony, która uginała się pod ciężarem pracy ponad siły. Każdy dzień kładł siność pod jej oczami i wyciskał swe piętno na twarzy.

Cień żony leżał mu na sercu, chwiał się, kurczył i rozszerzał z każdym jego uderzeniem.

Zabolała go myśl, że dawna miłość do żony zdawała się przygasać i nic nie zachowało się z owych chwil prócz jakichś mglistych, jakby nierzeczywistych wspomnień. Uczucie przewiało uniesione powiewem smutnych dni. Nie odczuwał jednak dotąd braku tego uczucia — nie myślał zresztą o tym. Zbyt był pochłonięty zwykłymi, przyziemnymi sprawami. Wystarczyło jednak otrząsnąć się z pyłu zobojętnienia i zejść po schodkach wspomnień w ogród zamierzchłych chwil, w ogród głęboki od cieni i blasków, gdzie szeleści echo dawno wygasłych słów; gdzie snują się przebrzmiałe marzenia, jak zapach więdnących kwiatów; gdzie spopielał żar uniesień płonący niegdyś, jak blask słoneczny wpleciony w gałęzie drzew.

Serce — zimne dotąd, jak krater wygasłego wulkanu — zabiło żywiej. Puste serce tknięte martwotą wśród mgieł zwątpienia — budziło się powoli.

Człowiek nie zetrze jednak z siebie przeszłości — odezwie się niespodziewanie którejś nocy czy dnia, w którejś chwili błogosławionej metamorfozy. Mimo woli i nie wiadomo dlaczego, przyszło mu nagle do głowy wspomnienie białych, delikatnych rąk żony znaczonych błękitnymi żyłkami. Zdawały się takie wiotkie, dziewczęce i bezradne, a jednak musiały dźwigać same ciężar podtrzymywania fundamentów domowego ogniska. Zadziwiająco wyraźnie przypominał sobie jej subtelne dłonie, aksamitnie miękkie w tkliwej pieszczocie. — Biedne, kochane, teraz takie spracowane ręce — zapragnął całować je, korzyć się przed nimi, prosić o przebaczenie — — —

I nagle w osamotnieniu i pustce ośnieżonych pól, odległy dom wydał mu się czymś tak drogim i bliskim, czymś tak niezbędnie potrzebnym do życia, jak powietrze którym oddychał.

Z tkliwością przypominał sobie jasną główkę dziecka — jego obraz, jak cząstka serca tkwił w nim ciągle, był z nim wszędzie, jak obecność boskiego istnienia.

Postanowił się zmienić. — Jak objawienie błysnęła nadzieja, wieczoru wigilijnego. Przy opłatku wyzna żonie swą skruchę... przysięgnie, że będzie inny.

Tylko koniecznie trzeba przynieść choinkę, bo Włodziu musi być razem z nimi szczęśliwy.

Spojrzał w stronę lasu. Był już blisko — rozróżniał poszczególne drzewa. Chwiały się zlekka, bo wiatr nadlatywał ze wschodu w urywanych podmuchach. Drżały gałęzie świerków osypując na ziemię drobne cienie. Za chwilę wszedł w gęstwinę poplątanych krzewów i drzew.

Przelotny wiatr wciąż szeleścił wśród gałęzi, przesuwał wśród świerkowych igiełek metaliczny szept, a śnieg lśnił i przygasał — bielał wszędzie. Błękit nieba przedzierał się tu i ówdzie poprzez gałęzie i padał w strzępach jasności w mroki ciemnego boru.

Długo błądził wśród pękatych świerków i smukłych jodeł — wybierał, która będzie najładniejsza.

Za chwilę rozległ się stuk siekierki i jedna spośród jodełek padła w śnieg.

W tym samym momencie odgłos szybkich kroków odezwał się w oddali. Zamarł w bezruchu... przeraził się. Wiedział, że nie wolno wycinać drzew w lesie bez pozwolenia. Nie groziło to śmiercią, ale jakąś karą no i oczywiście odebraliby mu choinkę. O, nie, z tą myślą nie mógł się pogodzić. Choinkę musi przynieść do domu. Chwycił więc drzewko i począł uciekać. Słyszał za sobą krzyki — nie przystanął jednak. Wierzył, że uda mu się ukryć wśród drzew. Biegł dalej. Wtem... ostro zaświstał odgłos wystrzału. Jeden... drugi... trzeci pusto zabrzmiał mu w uszach. Nagłe szarpnięcie w boku — ból... piekący ból, i... wszystko wokół niego zawirowało w obłędnym tańcu — ziemia osunęła się spod nóg.

Upadł twarzą w wilgotne gałązki choinki.

— — — — — — — — —

Niepokój w dużych oczach dziecka — wytężone nadsłuchiwanie odgłosu kroków, skrzypu otwieranych drzwi. Żałosne spojrzenie co chwilę wraca uparcie w otwór wydmuchany w szybie. Puszek niespokojnie strzyże uszami.

— Mamuszu, czemu ten tatuś tak dłu
nie wraca — w głosie drży płacz.
Westchnienie matczynej piersi... właś
myślała o tym samym. Niepokoiła się. — N
miał nigdy zwyczaju pozostawać dłużej
za domem — myślała. — Coś musiało
stać. — Nie chciała jednak swego niepok
okazywać dziecku.
— Nie martw się synku — szepnęła
tatuś na pewno zaraz wróci. Widocznie
może nigdzie kupić choinki.
— Może wcale nie przyniesie? — przer
się Włodziu.
— Ech, na pewno przyniesie. Inaczej
siedziałby tak długo — uspakajała go ma
Ale po twarzy dziecka poczęły płynąć
Czuł się ogromnie skrzywdzony. — Dlacz
inne dzieci mają choinki? Nawet już w
raj rodzice Krysi ubrali jej choinkę. Pa
Boże, daj, aby tatuś przyniósł zielone drz
ko — modlił się w głębi swej dziecin
duszyczki.
Pani Irena gładziła jasną główkę spo
wającą jej na kolanach. I jej spadło k
łez z bezbrzeżnie smutnych oczu. Nie na
kała nigdy. Z męstwem umiała znosić c
i biedę, lecz nie mogła patrzeć na łzy dzie
— na łzy, których nie mogła obetrzeć. O
nio przechodzili najtrudniejszy okres.
wystarczało nawet na skromne życie. C
wzrosły do niemożliwości. Musiała odej
wać sobie od ust, aby nakarmić dziecko
— Smutne, przesmutne jest życie ludzi
jących z dnia na dzień, z ciągłą troską o
skromniejsze nawet warunki nędznego b

— — — — — — — —

Wielkie zdumienie w zamglonych,
jeszcze nie widzących oczach. Powoli s
rzenie nabiera jasności — świadomość
ca; pamięć wychyla się z mroków. Poru
się — usiadł. Czuł się dziwnie osłabio
ręce drżały. Z tkliwością dotknął kłując
gałązek choinki.
— Jest jednak... jest... nie zabrali — s
tał zsiniałymi wargami. Przypływ szczę
zalał mu serce. — A więc wszystko s
czyło się dobrze... Nie wrócę do domu
czym... Chciał się podnieść i wtem sy
z bólu. Dotknął dłonią boku — mokro. S
rzenie na palce — krew. Dławiące prze
nie. Krew upływała... sączyła się w
wsiąkała w ubranie niezdolne do jej zata
wania. Oparł się o pień drzewa bezsil
przymknął oczy. — A więc to tak... to t
muszę tu zostać...
Smutek ostatniego osamotnienia t
wśród pustkowia ośnieżonych pól. Za
szumiał złowrogi las. Z drżeniem przejm
cego chłodu otwarł oczy.
Oto gdzieś w oddali pochyla się cora
żej krawędź nocy nad białą pustynią
mi. — za chwilę zasnuwać ją zacznie sze
i szerzej mrokiem bez granic. Obłędny st
przed nocą wśród pustki i ciemności, w
szumu posępnych drzew; przytłaczająca
motność wśród kostniejących śniegów;
silne wyczekiwanie śmierci pod ciszą o
nich uciekających chwil. Minuty sączą
i usuwają z życia jak krew.
— Och, nie — bunt tlejącego jeszcze
cia — muszę wstać... Muszę choć kaw
oddalić się od tego przeklętego miejsca
Z wielkim wysiłkiem wstał. Obmac
się po całym ciele, szukając ran. Była t
jedna — w boku. Nogi zdrowe. Zwątpi
ustąpiło miejsca nadziei.
— Jakoś pójdę — pomyślał.
Zaciął wargi, ujął koniec drzewka i w
je za sobą. Każdy krok odzywał się szar
ciem rozdartych mięśni w boku. Szedł
nak wytrwale. Na śniegu zauważył ś
kilku stóp.

— A, tędy pewnie biegli leśnicy w pogoni. Myśleli widocznie, że uciekałem dalej. Przebiegli w pobliżu mnie i nie zauważyli. — Obejrzał się. — Tak, ta kępa drzew dobrze maskowała cień leżącej postaci — pomyślał. — Moja ucieczka w ich pojęciach oświetliła mnie znacznie gorzej niż było w rzeczywistości. Posądzili mnie widocznie o jakieś inne cele niż ścinanie choinki. Dlatego strzelili.

Otarł kroplisty nalot z czoła i ruszył dalej. I znów znalazł się sam jeden wśród bezkresnej białej płaszczyzny. Szedł pod mrokiem coraz niższym, przestrzenią skostniałych osypisk. Stawało się coraz szarzej, coraz smutniej barwą zmierzchania się błękitów. Cienie pogłębiały się na zboczach śnieżnych. Sinawy półmrok bliskiej nocy zalewał gorące odblaski zachodu. Wielka cisza głucho zaległa przestrzenie, tylko ciągły szelest wleczonej choinki snuł się za nim i dodawał otuchy. Lecz siły poczęły go opuszczać. Jakże daleka i ciężka wydała mu się teraz ta droga, którą rano przemierzał szybkimi krokami. Wciąż jeszcze nie było widać zarysów miasteczka.

— Och, jeszcze kilka kroków — zmuszał się siłą woli — jeszcze kawałek... Może zobaczę kogoś z daleka. Czyż tędy nikt nie chodzi? — z rozpaczą wypowiedział ostatnie słowa.

W pewnej chwili mięśnie już nie chcą słuchać rozumu. W którymś momencie — staje się już wszystko jedno.

Przeogromne pragnienie odpoczynku.

Siła nadludzkiego zmęczenia pociągnęła go w dół... i znów poczuł na ustach kłujące igiełki choinki.

...a noc nadciągała nieubłaganie, jak nieubłaganie i ciągle sączyły się krople krwi, kwitnąc purpurowo na bieli śniegu.

— — — — — — — — —

Pierwsza gwiazda zajrzała w otwór wydmuchany w zamarzniętej szybie; błysnęła blaskiem w zmartwiałych nadaremnym oczekiwaniem — oczach dziecka. Skostniałe rączyny nieczujące zimna opierały się od wielu godzin o parapet okna. Po kredowo białej twarzyczce spływały bezwiednie łzy; bezsilne łzy dziecka wobec dłużących się smutnych godzin.

W mieszkaniu nie było nikogo. Strwożona długą nieobecnością męża pani Irena wyszła go szukać w mieście. Tylko mały Włodziu stał ciągle na swej placówce, przeogromną tęsknotą przywołując ukochanego tatusia. Znużony Puszek usnął u jego stóp.

Dal nieba ciemniała wciąż. Chłód ciągnął przejmującym powiewem. Siniejący zmierzchem śnieg, śnieg bez końca uderzał zastygłym miotem płaskich fal w dalekie niebo szarzejące nisko nad linią horyzontu. Srebrny księżyc wielki i czysty wysuwać się począł spoza białych wydm. Noc nabrzmiewała mrozem i czernią.

Ziemia milczy. Nieruchomo stoją srebrniejące księżycowym blaskiem krzewy. Na szybie okna kładzie się martwy, szklisty połysk miesiąca. W kątach pokoju czają się cienie jak duchy. Ciemna czeluść drzwi wciąż zionie pustką. Blaski i cienie na ścianach splotły się dziwacznie jak postacie zwierząt, czy ludzi.

Włodziu skulił się w strachu. Przykucnął w kącie. Nie patrzy już w okno. Boi się nocy, boi się cieni i zimnej twarzy księżyca. Wtem... zaszeleściły za oknem jakieś odgłosy i nierówne stąpanie, szum osuwającego się śniegu, szuranie — tak... wyraźne kroki... coraz bliżej... bliżej... Dźwięk poruszanej klamki — znowu. Chwila ciszy i znów bezsilne błądzenie po klamce. Wreszcie szarpnięcie — chłód powiał ze dworu.

Włodziu w przerażeniu bał się otworzyć oczy.

Jakiś szum w drzwiach... kroki... i cichy zamierający głos:

— Włodziu...

Skoczył na równe nogi. Poznał głos ojca.

— Tatuś! Tatuś... — krzyczał w uniesieniu. — O, Boże! i choinka. — Zawisł ojcu na szyi; całował go długo po twarzy, rękach i włosach. Ojciec w pewnej chwili odsunął go od siebie. Poczuł mdlące skurcze, które poczynały się gdzieś wewnątrz i zamierały w krtani. Zduszonym głosem powiedział jeszcze:

— Tatuś ci przyniósł choinkę... Widzisz synku, tak jak powiedziałem, przyniosłem... choćby to nawet miało kosztować... życie — wymamrotał już do siebie.

Zachwiał się i osunął na podłogę.

Krzyk dziecka rozdarł ciszę.

Jak na zew rozpaczliwego wołania, jakby wiedziona tajemnym przeczuciem przybiegła matka.

Potknęła się o choinkę leżącą w drzwiach.

Z początku nie mogła zrozumieć co się stało.

Trzask kontaktu elektrycznego, pokój oblał się światłem.

Spojrzała, zaćmiło jej się w oczach... później nagle rozjaśniło się; jasność to była ostra — każdy szczegół występował wyraźnie.

Stała nieporuszona. Wszystkie nerwy zastygły. Zakrzepła w przerażającej świadomości. — Krew — zrozumiała — krew... Przypadła do skulonej, bezwładnej postaci rzuconej jak łachman na ziemię. Z zapartym tchem wsłuchiwała się chciwie w odkrytą bielejącą pierś w rozerwanej koszuli.

Serce biło... biło cichutko, jak ledwie wyczuwalny szmer. Wyraz ogromnej ulgi rozprężył zastygłe jej rysy — i dopiero teraz popłynęły łzy. — Usta ułożyły się w wyraz największej tkliwości. Poczęła gładzić zlepione potem włosy.

— Mamusiu!... Co jest tatusiowi — cichy drżący głos.

— Nic, nic syneczku — wyszeptała. — Położymy go zaraz do łóżka.

Na dźwięk słów zamknięte powieki rannego, drgnęły... rozwarły się szeroko, przytomnie. Źrenice rozjaśniły się odblaskiem szczęścia.

Nie pytała o nic i on nie wymówił słowa.

Podniósł się z trudem za jej pomocą. Ściągała z niego ubranie. Obandażowała na prędce ranę, ułożyła go na łóżku, a po chwili biegła po lekarza.

Wpatrywała się z trwogą w surowe oblicze doktora, gdy badał męża, lecz nie dostrzegła w nim zaniepokojenia. Wreszcie kojące słowa diagnozy:

— Nic poważnego. Kula nie utkwiła w ciele, nie uszkodziła kości, rozdarła tylko mięsień biodrowy. Słabość pochodzi od nadmiernego upływu krwi. Niech się pani nie martwi — spojrzał życzliwie w jej oczy. — Wszystko będzie dobrze.

Radość, radość bez granic. — Wszystko będzie dobrze — świetlista raca wzbija się w mroki zwątpienia.

I wtedy błyska świadomość: — Przecież to dzisiaj wigilia. — Wszyscy zapomnieli o tym w nieszczęściu. Ale teraz, kiedy „wszystko będzie już dobrze" to słowo napełnia serce błogością.

— Irko, ubierz choinkę — szepcze Stanisław. — Włodziu, choć tu do mnie. Nie bój się, kochany, nic mi nie będzie. Ciesz się choinką i świętami.

Jasna główka spoczęła z ufnością na piersi ojca. Podniósł duże, przeczyste, jasne oczy, a wśród pobladłych usteczek zabłysł promienny uśmiech!

— — — — — — — — —

Szelest opłatków... najczulsze, najserdeczniejsze słowa życzeń. Za oknem płynie noc, lecz nie przeraża już... Stała się bliska i droga. Otula troskliwie ludzkie chaty bezszelestnymi skrzydłami mroku. Z okna ogrzanego mieszkania zimowa noc jest przecudna — śnieg zdaje się puchem opadłym z anielich lotek; mróz czarodziejem rozsiewającym iskry brylantów; odległe, niedosiężne niebo, miękkim welonem wyhaftowanym gwiazdami. Najpiękniejszy, wigilijny wieczór rozsiewa czary, nikomu nie jest źle, nikt się nie gniewa, nie narzeka. Wieczna, święta obecność Boga objęła cierpienie, niedolę, łzy jedną treścią, swego istnienia.

W srebrnej mglistości księżycowego pyłu rozwiały się smutki. W ciszy dzwoni lekki żal za uciekającymi minutami szczęścia.

Smętny, zwiewny żal za tym co nie może trwać wiecznie, lecz uchodzi... uchodzi w przeszłość — rozsiewa się we mgle.

Więc żyjmy tą nieziemską chwilą; weźmy ją całą w siebie, oddychajmy nią, oczyśćmy nią duszę z popiołu nim odejdzie ku gwiazdom przekleństwem ciągłego mijania, wiecznego ruchu, w którym unicestwia wszystko cokolwiek człowiek jej powierzył — każdą tęsknotę każdą myśl.

Dlaczego tak jest?!

Niebo zamknęło w sobie odpowiedzi, zawarło w sobie tajemnicę olbrzymią siłą wiecznej dali i wiecznego milczenia. Zimne, połyskliwe gwiazdy zawieszone w niezbadanych głębiach, nie powiedzą nam nic. Nie zanurzajmy się zresztą w rozmyślaniu.

Teraz jest dobrze... żyjmy więc urokiem chwili.

Choinka płonie światłami świeczek. Obłok białego obrusa majaczy w cieniu.

Wigilia — dzień życzeń i szczęścia.

CZYSZCZENIE JĘZYKA

Powiedział ktoś, że na świecie jest najwięcej lekarzy. I miał słuszność. Ale równie dużo jest naprawiaczy języka, a raczej czyścicieli. Kto tylko jako tako włada swoim językiem ojczystym, czuje się powołanym do jego naprawiania, do usuwania niewłaściwych, jego zdaniem, wyrażeń, zastępowania ich innymi, itp. Znałem wielu tego rodzaju purystów językowych, ale jeden szczególnie utkwił mi w pamięci ze względu na okoliczności, wśród jakich akcję czyszczenia rozpoczął. Miał on na celu, jak twierdził, oczyszczanie mowy z naleciałości, czyli przywracanie pierwotnej czystości naszemu językowi przez wyrzucanie wyrazów pochodzenia obcego, wyrazów, których znaczenie nie jest zgodne z jego pochodzeniem, gwar ludowych, gwar zawodowych itd. Jednym słowem chodziło mu, jak to określił, o czystkę językową.

Pan Anastazy Purysta zawziął się więc na oczyszczenie języka z nieczystości, tak jak Herkules stajnię Augiasza. Właśnie Herkules miał mu być wzorem, bo podjął się pracy na miarę Herkulesa. Zanim jednak rozpoczął akcję na wielką skalę, postanowił najpierw wybadać grunt pod tego rodzaju przedsięwzięcie. Wykorzystywał ku temu każdą okazję życia codziennego, przeważnie w zbiorowisku przypadkowym lub zebraniach towarzyskich.

Na rozpoczęcie swojej akcji wybrał sobie moment, gdy wraz z innymi ludźmi czekał na nadjeżdżający tramwaj. Dlaczego akurat wtedy i w tym miejscu? Zapewne na skutek przypadku. Przypadek był powodem wielu genialnych pociągnięć. Mogło tak być i w tym wypadku. A więc pan Anastazy stoi na przystanku tramwajowym. Nic na ogół nie znamionowało z jego postawy, że za chwilę ma się rozpocząć brzemienny w następstwa — czego był pewny — akt początkowy.

Tramwaj nadjeżdża. Konduktor krzyczy zniecierpliwiony:

— Proszę prędzej wsiadać!

Nasz Purysta miał już okazję do wystąpienia.

— Nie można mówić „wsiadać" — mówi się wejść. Po pierwsze dlatego, że zanim będzie można usiąść, trzeba najpierw zrobić kilka kroków, a po wtóre, jak pan sam widzi, miejsc siedzących nie ma. A po trzecie...

Tu przerwał jego wywody konduktor:

— Co mi pan tu będzie bajtlował o tym, jak ja mam mówić! Proszę prędzej wsiadać, wóz rusza! — ostudza jego zapał do dyskusji [illegible] funkcjonariusz [illegible]

Niezrażony czyściciel języka wszczyna rozmowę w wozie tramwajowym:

— Bajtlował?! Fe! jak można tak mówić! Skąd pan takie wyrażenie zaczerpnął? W żadnym słowniku tego słowa nie ma.

— Ja się ze słownika mówić nie uczę! A zresztą nie mam czasu na rozmowę z panem. Proszę bilety!

— No widzi pan! Znów pan popełnia błąd. Przecież nie ja panu mam dać bilet, tylko pan mnie.

— Widzicie go. Jaki mądrala! Będzie uczył konduktora jak ma mówić do publiczności! Może pan urządzi dla konduktorów kurs poprawnego mówienia?

— Owszem, przydałby się!

Rozmowa urwała się, bo konduktor poszedł dalej:

— Proszę bilety, proszę państwa! — Nauka uciekła w las.

Tu i ówdzie słychać było uwagi:

— Też się wybrał z nauczaniem. Cholera głupia!

Nasz purysta, gdyby słyszał, miałby znowu powód do oburzenia. Teraz jednak zajęty był rozmową z jakimś pasażerem, który zaciekawiony widocznie jego wystąpieniem, wdał się w rozmowę.

— Wydaje mi się — mówi ów nieznajomy — że walka z niekonsekwencjami językowymi, to walka z wiatrakami. Język jest żywym tworem, który się rozwija stale i nie da się włoczyć w ramy przepisów i zakazów. Język tworzą ludzie stosownie do potrzeb i zmiana może nastąpić tylko przez wprowadzenie innych poprawniejszych wyrażeń. Przez stałe powtarzanie jakiegoś wyrazu poprawnego w prasie, książkach, w szkole. I to w tym wypadku, jeśli są rzeczywiście rażąco nieodpowiednie. Słyszałem pańską rozmowę z konduktorem. Te wyrażenia, które pan zaczepił, nie są wcale takie niemożliwe. Znalazłbym gorsze, i to używane w literaturze. Ba, nawet słowa uważane za nieprzyzwoite już znalazły drogę do literatury. A co pan powie na naleciałości z obcych języków? Czy i te należałoby wyrzucić?

— Sądzę, że tak. Znajdą się wyrazy rdzennie polskie, które z powodzeniem zastąpią obce.

— Zgoda, jeśli będzie to następowało stopniowo i nie drogą zakazów, pouczeń. I nie we wszystkich wypadkach. Są wyrażenia o znaczeniu międzynarodowym, terminy naukowe. Czym pan zastąpi np. takie wyrażenia jak elektryka, radio, fizyka i wiele innych? Albo nie podoba się panu zmiana znaczenia wyrazów, na przenośniach. Czy też należałoby je zastąpić innymi wyrażeniami? Właśnie na tym polega piękno języka.

Nasz purysta widocznie nieprzygotowany na dyskusję nie wiele miał do powiedzenia swojemu rozmówcy, albo uważał, że szkoda słów na przekonywanie zatwardziałego przeciwnika. Rozstał się z nieznajomym z widocznym [illegible]

— Do widzenia — rzucił mu ten odchodząc.

— Nie do widzenia — odparł uparty purysta. — Nie mam powodu życzyć sobie widzenia z panem. Żegnam pana!

— Jak pan woli. Ja wolę pozostać przy dawnym zwyczaju.

Innym razem przy zupełnie innej okazji miałem możność przekonać się, że nauka owego nieznajomego z tramwaju nie pozostała bez wpływu na niego. Było to na imieninach. Zgromadziło się kilka pięknych pań i kilku wytwornych panów. Między nimi i pan Purysta.

Tym razem znalazł wdzięcznych słuchaczy, a raczej słuchaczki w paniach. Panowie z rezerwą słuchali jego wywodów nie wtrącając się do rozmowy. Może zazdrościli mu powodzenia u płci pięknej. Albo nie mogli mu zaprzeczyć, bo tym razem wcale logicznie dowodził.

Pan Anastazy zaatakował „całuję rączki" i „padam do nóg".

— Nie rozumiem jak rozsądny człowiek może poważnie używać przy powitaniu słów: całuję rączki. To niekonsekwencja. Albo całuję, a wtedy nie potrzebuję tego mówić, gdyż fakt mówi za siebie, albo gdy nie całuję, to nie potrzebuję wmawiać w kogoś, że to czynię. Ja osobiście wolę w ogóle nie całować. Odkąd mamy równouprawnienie kobiet i spotykamy się z nimi nie tylko w salonie, ale i przy warsztacie pracy, na ulicy, w tramwaju, nie widzę potrzeby całowania po rękach. Sięgnijmy do zwyczajów ludowych, które powinny być dla nas wzorem, jako odziedziczone po naszych przodkach w czystej postaci, bez domieszek obcych. U ludu tylko dzieci całują starszych w rękę, a starsi między sobą witają się przez podanie ręki.

— A jak z pocałunkiem w usta? — odezwała się jedna z pań. Czy też pan chce skasować? O ile mi się zdaje, wśród ludu nie jest rozpowszechniony zwyczaj całowania w usta.

— Dla pocałunku w usta zrobiłbym wyjątek. Chyba, że stałby się znowu zwyczajem tak jak pocałunek w rękę. Nie znoszę zwyczajowego całowania w rękę. Właśnie to mnie skłoniło do wypowiedzenia się przeciw temu zwyczajowi. Całuję kogo chcę (jeżeli i ten ktoś tego chce) i kiedy chcę. Dlaczego np. całujemy w rękę koniecznie mężatki? Czy dlatego, aby ją wyróżnić? Wiele niemężatek bardziej jest godnych szacunku, jeśli już pocałunek w rękę ma wyrażać szacunek. Gdyby zapanował powszechny zwyczaj niecałowania, moglibyśmy w wyjątkowych wypadkach popełniać niekonsekwencję.

— Pan jest nadzwyczajny! Zupełnie się zgadzam z panem. Nie lubię, gdy mię ktoś całuje dla zwyczaju. Odsuwam wtedy rękę, ale czasem ktoś się o to obraża, więc muszę zrobić wyjątek.

Mieliśmy tego dość. Pan Anastazy zaczynał być naprawdę oryginalny. A co gorsza, znalazł taki posłuch u kobiet, z których niejedną darzyliśmy względami; więc po naradzie z towarzyszami zwróciłem się do niego:

— Pan zdaje się zmienił swoje poglądy, albo rozszerza swoją walkę o czystość języka na dziedzinę obyczajów.

— Wcale nie. W dalszym ciągu jestem zwolennikiem czystości języka, a dzisiejszy mój występ, że tak powiem, to tylko dygresja na marginesie „całuję rączki". Chciałem właśnie w dalszym ciągu poruszyć sprawę powiedzenia „padam do nóg", jako również niekonsekwentnego i poniżającego godność ludzką. Na szczęście to słowo już całkowicie wyszło z obiegu. Swoją drogą nie jest to zasługą lingwistów, tylko postępującej coraz bardziej demokratyzacji.

— Czy nie uważa pan, że wyrażenie „swoją drogą" jest niewłaściwie użyte? — zapytałem.

— A wyszło z obiegu?

— Lingwistów!

— Demokratyzacji!

— Niekonsekwentny!

— Dygresja!

— Margines!

Moi towarzysze jeden przez drugiego zarzucili go jak gradem cytatami z jego przemówienia i triumfujące spojrzenia rzucali na kobiece towarzystwo.

Panie jednak milczały dyskretnie. Czekały na rozstrzygnięcie rozgrywki.

Pan Anastazy trochę zmieszany zwrócił się do nas.

— Nie wszystkie słowa pochodzenia obcego dadzą się od razu zastąpić nowymi wyrazami. Trzeba je stopniowo wprowadzać. Drogą ewolucji, nie rewolucji. Przepraszam! Drogą rozwojową, a nie...

— Widzi pan! Brak panu wyrażenia, panie Purysto, a chce pan, aby wszyscy stosowali się do pańskich żądań. Zacznij pan reformę od siebie samego! Będziemy mówili, jak dotychczas mówiliśmy i jak zresztą pan sam mówi. Nie wykluczamy tego, że trzeba unikać zachwaszczania języka przez niepotrzebne naleciałości, ale jeżeli możemy język wzbogacić przez zaczerpnięcie np. ze źródeł ludowych, nie omieszkamy tego uczynić ku pańskiej irytacji. A wyrażenia według pana niekonsekwentne będziemy nadal stosowali konsekwentnie!

Purysta milczał wyniośle. Zbliżył się do grupy pań przy oknie i ażeby zmienić temat rozmowy, zaczął mówić o pogodzie:

— Co to? Deszcz na dworze?

— Nie mówi się „na dworze", tylko na polu! — Zaryczeliśmy z uciechą, że udało się nam pogrążyć go jeszcze na dobitkę.

Wkrótce potem pożegnał się tłumacząc się nawałem pracy i już nie słyszałem o nim, ani o jego naukach.

Nurek

VARIÉTÉ

Miesiące całe wytężonej, nużącej pracy; jednostajne, do uprzykszenia powtarzane godzinami, dzień po dniu …iczenia i próby; uparta wola dojścia do precyzji w każ…m ruchu, w każdym chwycie, w każdym poruszeniu; nie…ylna pewność najmniejszego gestu, niewiarygodna do…dność ściśle wyliczonego, na ułamki sekundy czasu… …o nieznana strona życia ludzi zbierających później jakże …rdzo zasłużone oklaski w blasku kinkietów i barwnych



W OBŁOKU Z PIÓR…
Brawurowy numer taneczny, wykonywany w kruchym, efektownym kostiumie ze strusich piór przez wykształconą w akrobatycznej choreografii tancerkę Variété.



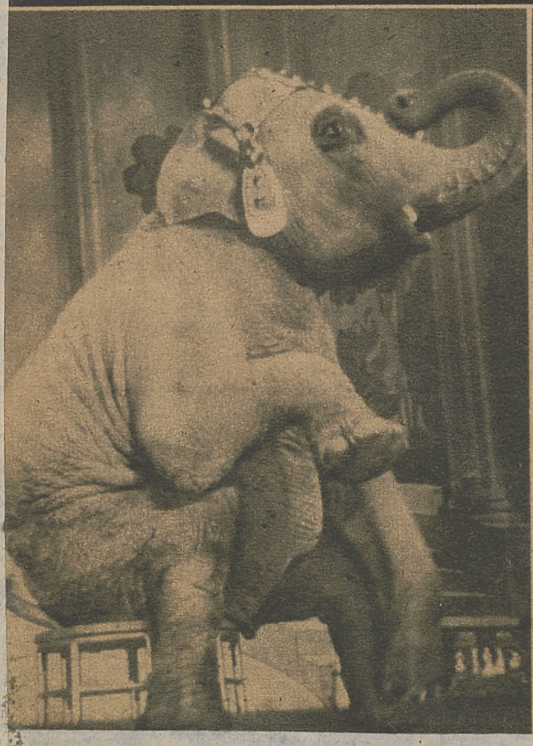
W kole:
A TO JAKIM CUDEM!!
Niewytłumaczony, trickowy „gwoźdź" programu Variété, taniec w powietrzu ciemno ubranej artystki na tle jasnej dekoracji. Powodzenie numeru kolosalne!

U dołu:
UWAGA! NASTĄPI… DEMATERIALIZACJA!
„Mistrz wiedzy tajemnej" wobec PT. Publiczności nakaże za chwilę „zniknąć" z zawiązanego worka swej urodziwej partnerce. Każdy może sprawdzić, że w tej chwili jest tam jeszcze „osobiście"!

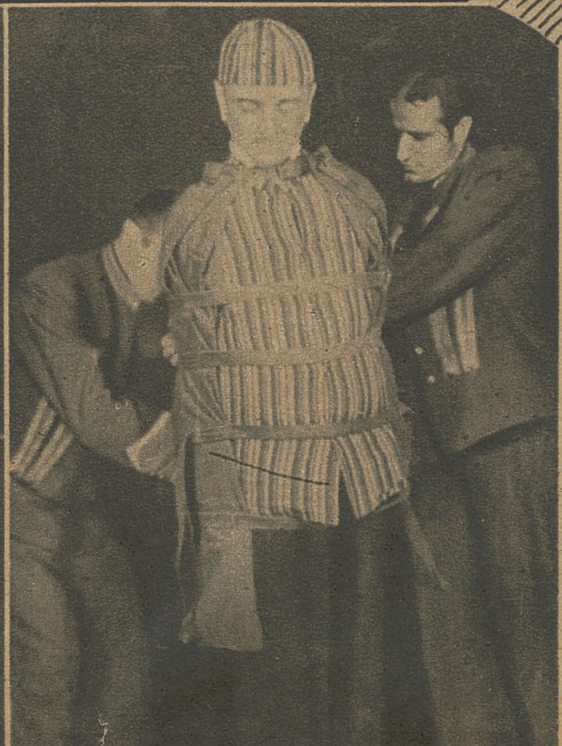
Poniżej na prawo:
PRAWDZIWY MUZYK GRA… NA WSZYSTKIM!
„Mistrz tonów" z Variété grać potrafi nawet …na krześle, na którym naciągnięto strunę opierającą się o starą membranę gramofonową z blaszanym lejkiem.

Poniżej:
„SŁONIOWATOŚĆ" NIC NIE MA DO RZECZY!
Trzeba zobaczyć, do czego może doprowadzić umiejętna tresura, by móc otwarcie powiedzieć, że nawet słoń — jak ten oto — może zachwycać bywalców Variété!

Poniżej:
na lewo:
Skrępowany wokół korpu… wraz z ręko… „król węży" z Variété uwolni się na oczach publiczności w ciągu paru zaledwie minut.







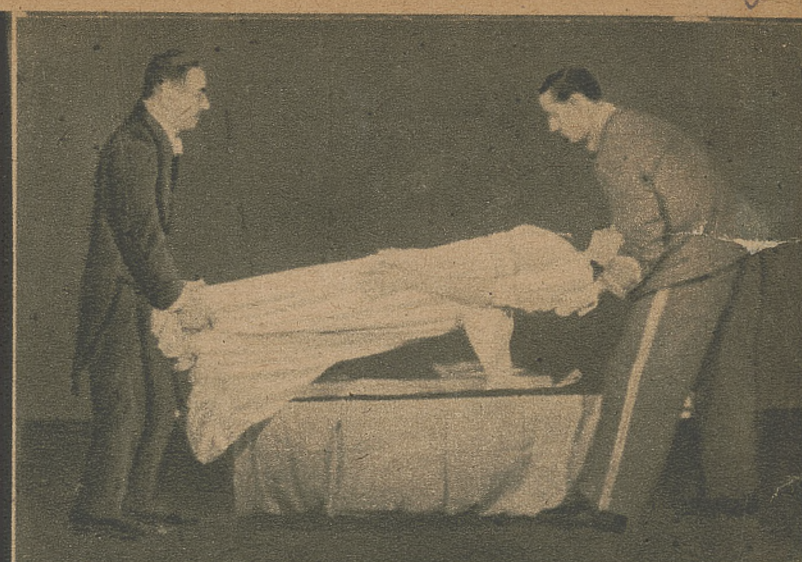


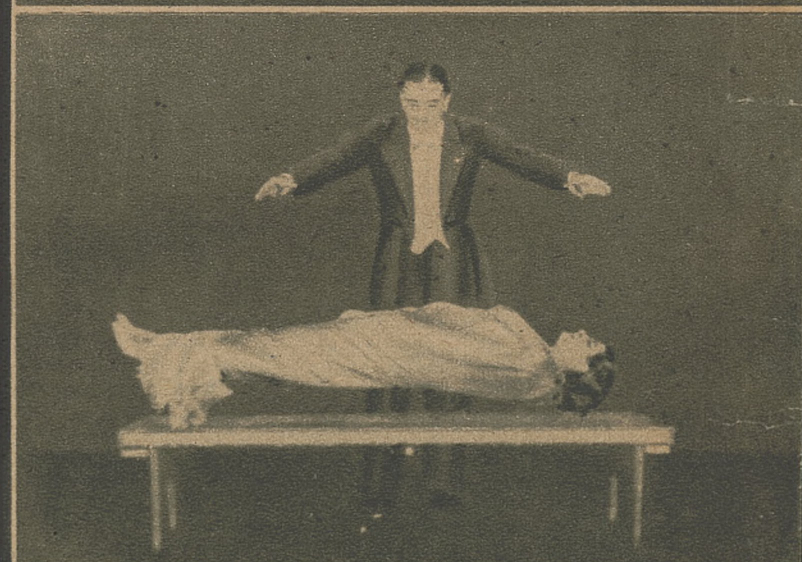
Na prawo:
„TERAZ ZOBACZĄ PAŃSTWO LEWITACJĘ!"
Przyciemniono światła… Czarne tło doskonale odbija „zesztywniałą" w śnie magnetycznym postać medium. „Prosimy o głęboką ciszę"…

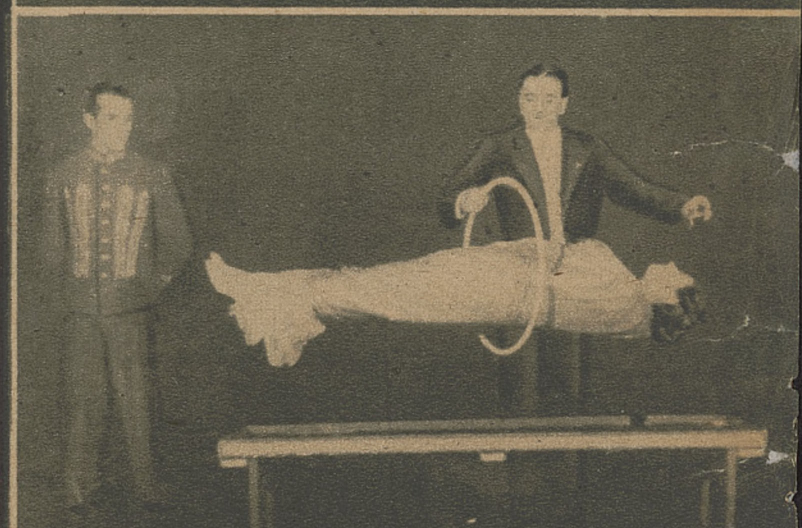
Fot: Sendler

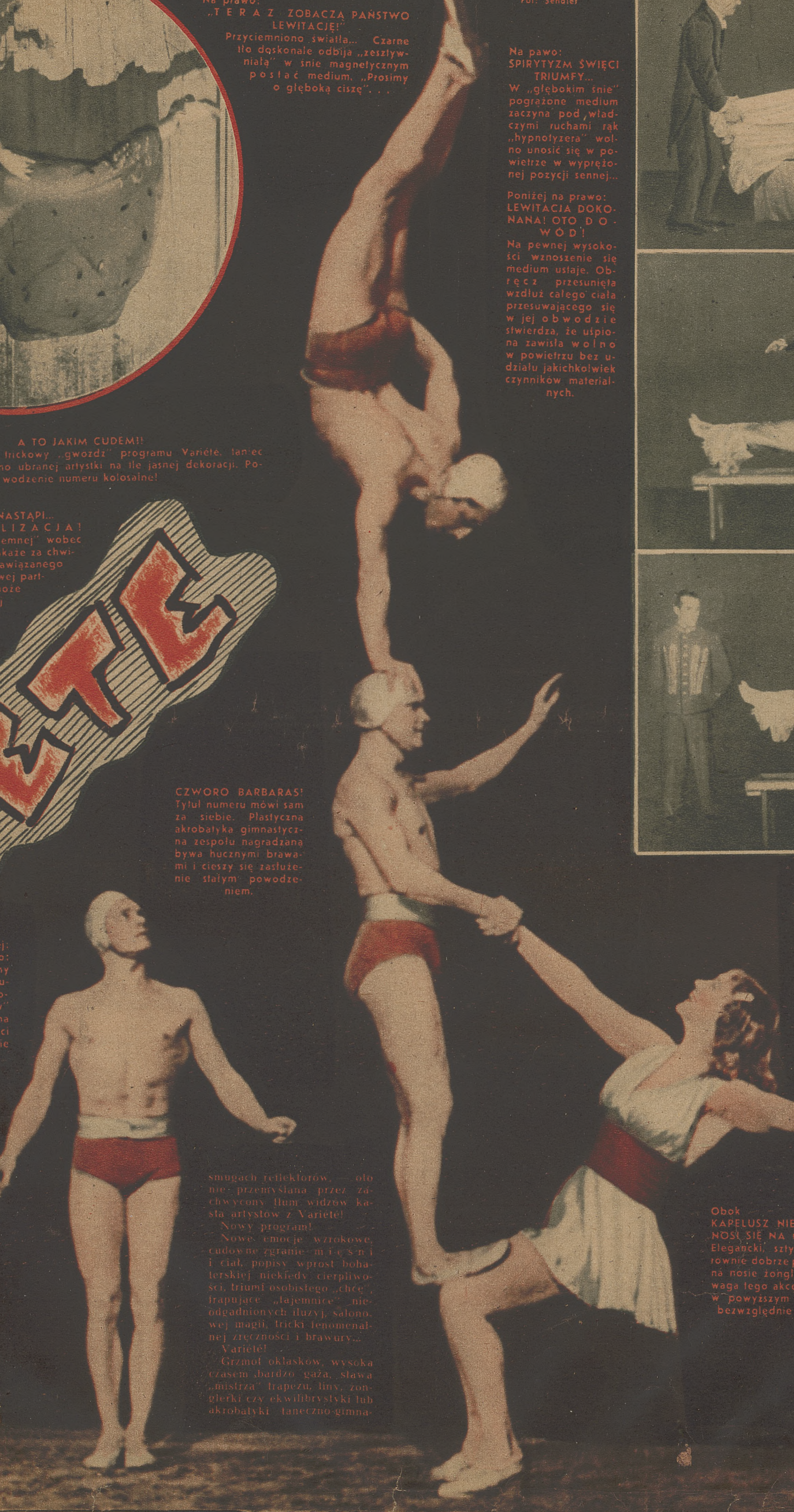
Na pawo:
SPIRYTYZM ŚWIĘCI TRIUMFY…
W „głębokim śnie" pogrążone medium zaczyna pod władczymi ruchami rąk „hypnotyzera" wolno unosić się w powietrze w wyprężonej pozycji sennej…

Poniżej na prawo:
LEWITACJA DOKONANA! OTO DOWÓD!
Na pewnej wysokości wznoszenie się medium ustaje. Obręcz przesunięta wzdłuż całego ciała przesuwającego się w jej obwodzie stwierdza, że uśpiona zawisła wolno w powietrzu bez udziału jakichkolwiek czynników materialnych.









CZWORO BARBARAS!
Tytuł numeru mówi sam za siebie. Plastyczna akrobatyka gimnastyczna zespołu nagradzana bywa hucznymi brawami i cieszy się zasłużenie stałym powodzeniem.

smugach reflektorów, — oto nie przemyślana przez zachwycony tłum widzów kasta artystów z Variété!

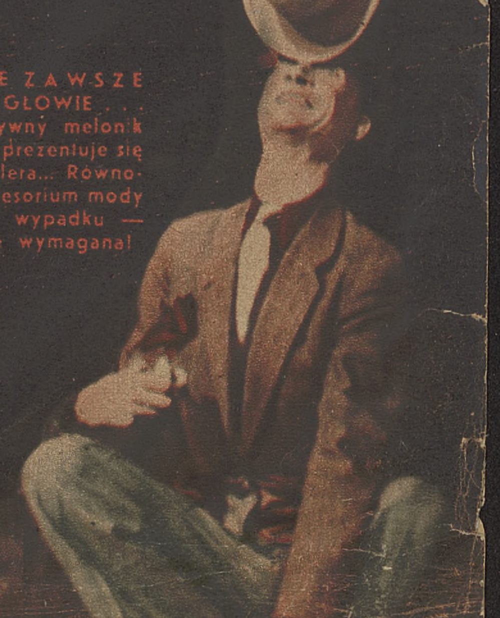
Nowy program!

Nowe emocje wzrokowe, cudowne zgranie mięśni i ciał, popisy wprost bohaterskiej niekiedy cierpliwości, triumf osobistego „chcę", frapujące „tajemnice" nieodgadnionych iluzyj, salonowej magii, tricki fenomenalnej zręczności i brawury…

Variété!

Grzmot oklasków, wysoka czasem „bardzo" gaża, sława „mistrza" trapezu, liny, żonglerki czy ekwilibrystyki lub akrobatyki taneczno-gimnastycznej, to cała nagroda, nierzadko krótka gdy zawistny los zechce, za mozół długich dni i samotność trudnych usiłowań skupionej pracy nad sobą.

Variété — świat złudzeń, hartu ciała i naprawdę unaocznienia — co potrafi człowiek.



Obok
KAPELUSZ NIE ZAWSZE NOSI SIĘ NA GŁOWIE…
Elegancki, sztywny melonik równie dobrze prezentuje się na nosie żonglera… Równowaga tego akcesorium mody w powyższym wypadku — bezwzględnie wymagana!

ZE SCEN I ESTRAD

KONCERT SOLISTÓW W KPTK.

W licznym szeregu imprez ostatnich tygodni, jakimi zapoczątkował swój sezon w własnej sali na Stradomiu sympatyczny Teatr Kukiełek (nawiasem mówiąc przedstawienia kukiełkowe są tu najrzadszym zjawiskiem), na pierwszy plan wybija się koncert p. Płatównej, prof. Drzewieckiego i p. Kozaka.

Przyczynił się do tego nie tylko wysoki poziom wykonawstwa, ale też dobór prawdziwie wartościowego programu.

P. Fr. Płatówna odśpiewała trzy pieśni: Różyckiego „Jasna [illegible]", Niewiadomskiego „Słonko" i Żeleńskiego „Słoneczku mój", oraz arie z oper „La Wally" Catalani'ego i „Beatrix Cenci" Różyckiego.

P. Płatówna jest zbyt rutynowaną i cenioną śpiewaczką, by można coś nowego o jej głosie napisać. Śpiewała jak zwykle doskonale.

Prof. Drzewiecki ma opinię jednego z najpoważniejszych pianistów polskich. Niedzielny koncert jeszcze raz opinię potwierdził. Obszerny program (Sonata księżycowa Beethovena, Nocturn Fis-dur, Scherzo h-moll, walc c-moll i Polonez As-dur Chopina) wykazał w całej pełni walory jego talentu, a jeżeli zdarzyły się usterki, to kładziemy je na karb nieodpowiedniego instrumentu no i nastroju wywołanego niekulturalnym zachowaniem się publiczności. Prof. Drzewiecki rozporządza znakomicie opanowaną techniką, uderzeniem mocnym i głębokim, oraz nieodzownym wczuciem się w nastrój utworu. Pięknie wypadło Scherzo h-moll oraz Finale Sonaty księżycowej. Polonez As-dur, który wywołał jak zwykle ogromny entuzjazm, miał może zbyt szybkie tempo, przez co zatracił charakter poloneza. Pan Czesław Kozak, którego usłyszeliśmy w części solowej i w dwóch duetach z p. Płatówną, posiada wszelkie zadatki na rasowego śpiewaka. Duży, miły w brzmieniu głos, umiejętnie prowadzony, nienaganne frazowanie, dobrze osadzone tony górne oraz doskonała dykcja sprawiają, że zawsze słuchamy tego śpiewaka z przyjemnością. Na koncercie usłyszeliśmy pieśń Moniuszki „Matko moja", arię Walentego z op. „Faust" Gounoda, Marcina z „Verbum Nobile" Moniuszki i dwa duety: Rossini'ego „Regaty" i Chopina „Swaty".

Akompaniował p. Adam Galer, którego można zaliczyć do najlepszych akompaniatorów krakowskich.

Irena Orwid





Na lewo: Prof. Drzewiecki przy fortepianie. Na prawo: Gołaszewska (Lola) i Jankowski (Antoni) w komedii Bus-Feketego „Trafika Pani Jenerałowej" na scenie Starego Teatru. Fot. Borek

RECITAL FORTEPIANOWY WACŁAWA LEWANDOWSKIEGO

Jeśli chodzi o zwięzłą charakterystykę efektów gry Wacława Lewandowskiego, jakie przejawił na niedzielnym recitalu fortepianowym w Błękitnej Sali, to przede wszystkim więzi uwagę słuchacza głęboki liryzm odtwórczy, gruntujący się oczywiście na duchowym podłożu emocjonalnym, może nawet rozlewność liryczna, ujęta w rozumne karby wysokiej techniki — o uderzeniu subtelnym, miękkim ale znowu nie za miękkim, zdobywającym się w partiach wymagających siły uderzenia na stosunkowo dużą moc — z lekką przewagą prawej ręki, bardzo elastycznej i nader ruchliwej. Stąd wypływa ta — odnosimy wrażenie — bezwysiłkowość odtwórcza, która nadto jest zespoleniem staranności przygotowawczej, doskonałego opanowania pamięciowego z umiejętnym wyczuciem zewnętrznych i wewnętrznych elementów utworu i zogniskowaniem ich w harmonijnej, przemiłej całości. Śpiewność utworu jaśnieje nieskazitelną pełnią i powabem, wnikającym w głąb duszy. Za wielkimi efektami, popisywaniem się techniką koncertant nie ugania, aczkolwiek mógłby to czynić z tą samą, zwykłą bezwysiłkowością.

Z takimi właściwościami odtwórczymi najlepiej harmonizują, co i sam koncertant doskonale odczuwa, utwory Chopina. Nic też dziwnego, że koncertant czuje do nich pewną predylekcję, — nie przesadzamy — żywy kult. Lewandowski umie grać Chopina, nie szablonowo, jak się to często na estradach słyszy, ale umie dobyć z jego utworów pełnię życia, wyposażoną w majestat prawdziwego piękna. Toteż doskonale wypadła Ballada As-dur, ogniskująca w formie zupełnie nienagannej wszystkie walory gry koncertanta. Mazurek cis-moll utrafił w złoty środek między charakterem ludowym a wzniosłością artystyczną. Preludium As-dur i d-moll oddane w formie nienagannej. Liszta Etiuda Des-dur i Rapsodia X pozwoliły koncertantowi na dobycie i zaakcentowanie walorów technicznych i zyskały huragany oklasków, zmuszających koncertanta do kilkakrotnych bisów.

Pierwsza część recitalu może nieco słabiej wypadła, ale i z niej pierwsza część Sonaty cis-moll Beethovena, Traumeswirren Schuhmanna, Gawot Gluck-Brahmsa odtwórczo osiągnęły wysoki poziom artystyczny.

„TRAFIKA" W „STARYM TEATRZE"

Dwuznaczność powyższego tytułu będzie istotniejszą, jeśli uzmysłowimy sobie współczesną trafikę, w której — oprócz papierosów — można dostać kiełbasę, mydło, bimber, ozdóbki na choinkę i tym podobne delikatesy — w przeważającej części „ersątze".

Rodzi się duża analogia między „wojennym" kioskiem a „Starym Teatrem" — z tą zasadniczą różnicą, że w pierwszym można nawet dzisiaj po wygórowanych cenach dostać naprawdę dobry towar.

Ale nie wpadajmy w cynizm — lecz wróćmy do rzeczy. Nie ulega wątpliwości, że Stary Teatr posiada na razie wszystkie warunki ku dobremu i zdrowemu prosperowaniu. Miła i przytulna widownia i scena. Artystów huk! No... i co najważniejsze — jest dobra i pobłażliwa publiczność!

Jedynie repertuar teatru pozostawia wiele do życzenia.

Rewia, rewia — i jeszcze raz rewia. A każda nowa rewia jest w lwiej części powtórzeniem poprzedniej. Ale nie na tym koniec.

Przypatrzmy się bliżej programowi każdej rewii: Nieopracowany, nic w nim tematycznie nowego, — typowo przedwojenny — o licznych wstawkach treści rzewno-płaczliwej. Psiakrew! Aż się słabo robi od tych łzawych melodeklamacyj i recytacyj.

Na litość boską! Nie róbcie zastraszającej konkurencji codziennemu życiu! Czyż mało płaczu i wzruszeń mamy poza teatrem?

Zrozumcie, że publiczność przychodzi dzisiaj do teatru dla wytchnienia, dla oderwania myśli od szarej i ciężkiej rzeczywistości. Dla odprężenia i zapomnienia. Pomyślcie więc o niej!!! Nie powtarzajcie smętnych i oklepanych skeczów przedwojennych!

Cały świat zmienia oblicze i idzie naprzód. Każda niemal dziedzina życia doznaje przeobrażeń, a tylko wy — aktorzy — u p a r c i e stoicie w m i e j s c u ! Zadziwia mnie w tym względzie pobłażliwość dyrektora teatru. Wyrzućcie Ortyma z rewii! Niech pilnuje bajek dla dzieci, w których jest niezastąpiony. Piszcie sztuki dla Jankowskiego! Dajcie nam komedię — komedię muzyczną. Wystawcie sztuki, które by swą ideologią nas wzmacniały lub bawiły. Niech wam posłużą przykładem teatrzyki z hasłem „Kraft durch Freude".

Na zakończenie naszych próśb i refleksyj — jeszcze słów kilkoro o ostatniej premierze „Trafiki Pani Jenerałowej" Bus-Feketego.

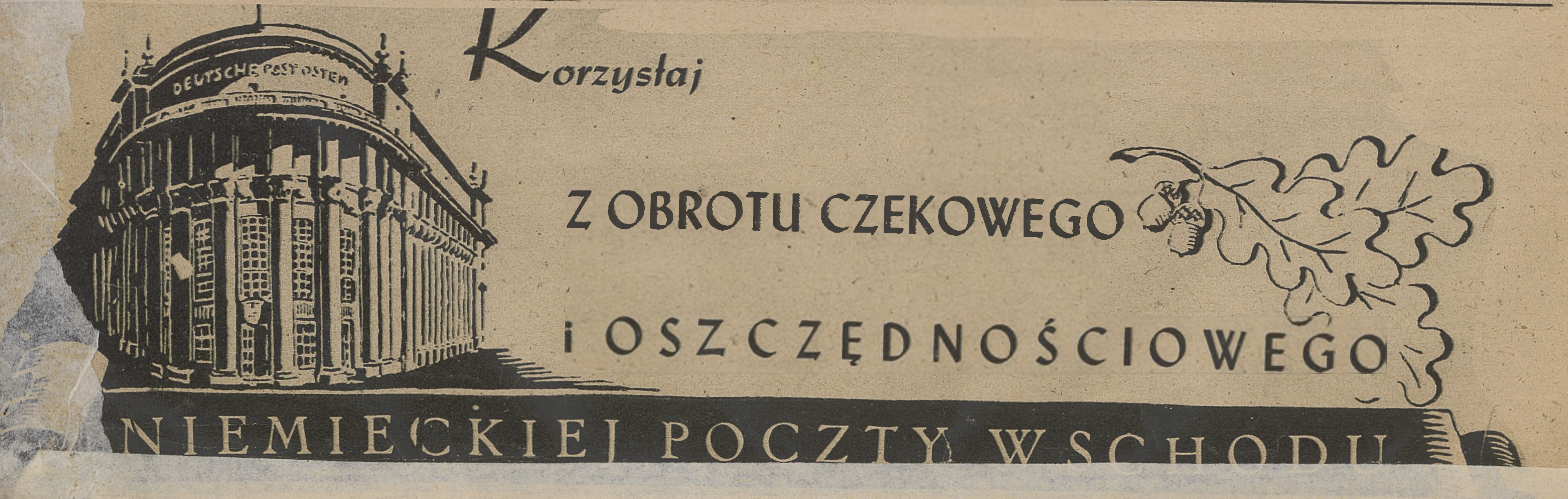
Świetna ta komedia — szeroko znana — i tylekroć grana — doskonała w swej tematyce, posiadająca tempo i zdrowy dowcip — została w kilku ważniejszych rolach niefortunnie obsadzona aktorami dramatycznymi, a reżysersko zepchnięta niemal do rzędu amatorskiego przedstawienia.

Słabo wypadł Chmielewski w roli starego hrabiego. Liedke po amatorsku interpretował rolę młodego hrabiego. Również Chodakowska nie potrafiła należycie wykorzystać wdzięcznej roli Gerti. Tylko świetny talent komediowy Jankowskiego zabłysnął w tej sztuce w całej pełni. Śmiało i ze zrozumieniem podszedł on do roli Antoniego — małżonka Loli i doskonałą grą zasłużył na szczególne wyróżnienie.

Ordyńska w roli generałowej bardzo dobra; równie dobra była Lola w interpretacji Gołaszewskiej. Pozostałe role nie wnosiły do sztuki nic nowego ni ciekawego.

Paliwoda-Matiolański

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau. Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 220 61 ap. 64. Wydawnictwo Wielopole 1 tel. 135 60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900





Marek wrócił z łazienki, ocierając sobie twarz z pudru po goleniu, szybko podszedł do swej walizy, wyjął z niej kamizelkę smokingową i położył na stole. Spojrzałem na zegarek; za piętnaście minut ma rozpocząć się uroczystość wigilijna i powinien śpieszyć się, a tymczasem grzebie w walizie i nerwowo w niej przewraca.

Nagle jęknął.

— Zapomniałeś zapewne spinek od koszuli — nie odwracam twarzy od lustra, gdyż muszę doprowadzić wiązanie mojej muszki do szczytów artyzmu.

— Gorzej — westchnął.

— Samej koszuli?

— Jeszcze gorzej.

— Cóż może być gorszego od koszuli ze sztywnym gorsem?

— W walizce jest tylko jeden lakierek.

— Och... — odwracam się gwałtownie, błyskawicznie zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji. Za chwilę mamy zejść na dół i wyobrażam sobie minę gospodarzą domu, gdy zobaczy swego przyszłego zięcia w tak niekompletnym stroju, tym bardziej, że młoda para ma właśnie dziś spędzić swój pierwszy, uroczysty wieczór razem.

— Ubieraj się szybko, jeszcze raz poszukam — ale po kilku ruchach widzę, że jedyne buty, jakie są w pokoju — to nasze sportowe ,i raczej można by wyobrazić sobie Petroniusza, jedzącego rybę nożem, niż Marka: w smokingu i boksowych półbutach.

— Wszystko twoja wina — Marek nerwowo zapina kamizelkę — jasnym dla wszystkich będzie, że pakowałem walizę w stanie nietrzeźwym. Pocóżeś mnie wczoraj wyciągnął?

— Mój drogi, nawet po dwóch butelkach dżinu umiem liczyć jeszcze do dwóch i zdaję sobie sprawę, jak nikłą wartość przedstawia w życiu jeden but, i to — z lewej nogi.

Zapukano do drzwi, weszła pokojówka.

— Państwo proszą na dół.

— Zaraz zejdziemy. Czy wszyscy są już w salonie?

— Tak jest — opuściła pokój.

Marek przejechał ręką po włosach.

— Jestem zgubiony.

— Jak długo masz przyjaciela, nie licz na zgubienie. Sypialnia naszych gospodarzy znajduje się, zdaje się, na końcu korytarza?

— Tak, ale co z tego?

— Na pewno znajdzie się tam jakiś czarny bucik, ostatecznie, nie będzie zbrodnią, gdy go sobie pożyczymy na kilka godzin. Poczekaj chwilę, załatwię to już.

Za dwadzieścia sekund byłem z powrotem.

— Gdzie but?

— Nieszczęście. Jeżeli wierzyć wróżbom, czeka mnie ciężki rok. 365 i pół dnia ma być podobnych do wieczoru wigilijnego, a właśnie co natknąłem się na jakąś starą pannę w negliżu, która okupuje sypialnię.

Milczenie przerwało ponowne wejście pokojówki.

— Marysiu, moja złota, musi panienka wyświadczyć nam pewną przysługę. Ja zejdę teraz na dół i gdy zasiądę do stołu, pod moim krzesłem będzie znajdował się bucik, który Marysia musi niepostrzeżenie podnieść i czym prędzej zanieść panu Markowi do góry, ale tak, żeby nikt tego nie zauważył. To jest przesąd arabski, który przynosi kolosalne szczęście, nawet Marysi — wsunąłem jej, dla poparcia mej tezy, banknot do kieszonki fartuszka. — Ale najważniejsze, żeby nikt o tym nie wiedział.

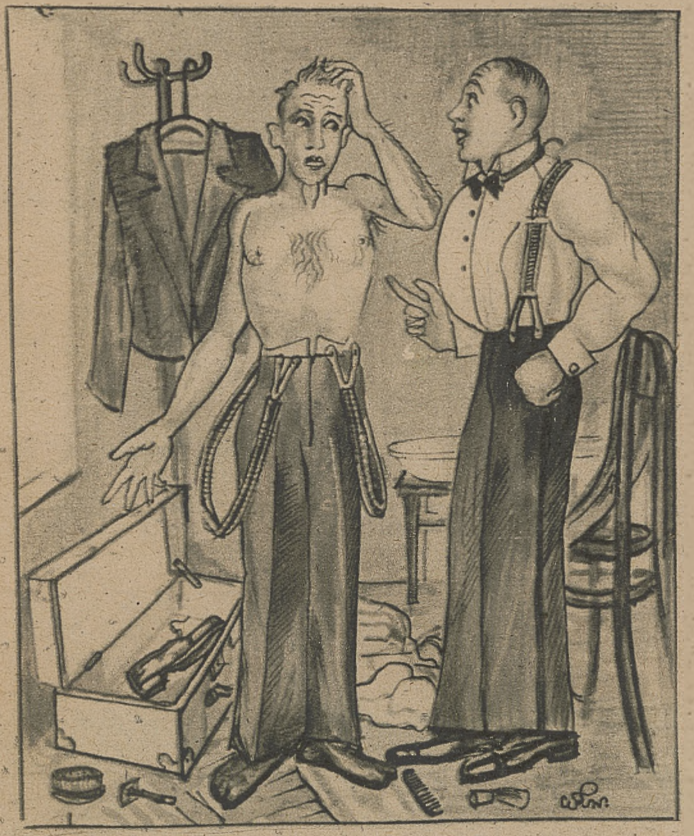
Gdy wyszła Marek złapał mnie za rękę.

— Słuchaj, Aleks, jak wyobrażasz sobie to na serio?... a poza tym Marysia jest chyba na tyle mądra, że wie, iż Arabowie nie jedzą wilii.

— Głupstwo, powiedziałem pierwszą lepszą bujdę... Więc zejdę na dół, usprawiedliwię cię pod jakimś pretekstem, że się spóźnisz. Tylko pamiętaj — spojrzałem groźnie — jak będziesz już siedział przy stole, masz mi zaraz z powrotem but podsunąć!

— A co będzie potem?

— W międzyczasie sypialnia opróżni się, wszyscy będą



przypuszczalnie lekko „pod gazem", w połowie kolacji wstanę i uzupełnię ci brak.

— Ale... służąca pewnie „wypapla" wszystko.

— Nic nie szkodzi, wyśmiejemy to jakoś, w każdym razie panna Ewa nie dowie się, że jej narzeczony, zamiast tęsknić za nią, zalał się w lakierek.

W salonie prócz państwa domu, Ewy, jej młodszej siostry Lidki, było zaproszonych parę osób, z których wyróżniał się profesor, o siwych, bujnych włosach.

Po kilku zdawkowych grzecznościach podszedłem do Lidki.

— Mam do pani maleńką, a właściwie wielką prośbę. Czy nie mogłaby pani tak zaaranżować, by naprzeciwko mnie, przy stole, siedział Marek?

Podniosła brwi.

— To jest taki przesąd arabski... chciałem powiedzieć, aragoński, że musi się mieć naprzeciwko siebie kogoś bliskiego.

Zarumieniła się. — Dobrze... właściwie ja miałam być pańskim vis à vis, ale...

— A, jeśli pani... — wobec siedemnastoletniego, uroczego zjawiska, jakim jest Lidka, wszelkie inne kwestie nawet lakiery, bledną — ... szalenie cieszę się. Prawa aragońskie wymagają nawet, by naprzeciwko siebie była płeć mieszana.

— Marek będzie po mojej prawej, z drugiej strony profesor Klabasta; pan jako towarzyszkę będzie miał pannę Mirę, nie wiem, czy widział ją pan już?

— Owszem — przypomniałem sobie zjawisko w sypialni — ... ale niezupełnie, to znaczy, najzupełniej niezupełnie... hm... chciałem powiedzieć, nie miałem zaszczytu być przedstawionym tej pani.

— Ale jeszcze jedna rzecz — nachyliłem się jej do ucha — Markowi zależy na tym, byśmy bez niego zasiedli do stołu — wskazałem dyskretnie na choinkę, tonącą w srebrze, dając do zrozumienia, że Marek chce niepostrzeżenie swoje prezenty pod nią rozłożyć.

Gdyśmy zasiedli do stołu, pierwszą moją czynnością było rozluźnienie sznurowadła i zsunięcie lakierka z nogi, po czym zacząłem go w tył posuwać. Przeszkadza mi w tym poprzeczna listwa, nachylam się ku p. Mirze, która ciągle nie może sobie przypomnieć, gdzie już moją twarz widziała, zapewniam ją, iż, od najmłodszych lat, noszę ją stale na tym samym miejscu, tj. na przodzie głowy... no, wreszcie but musi być dostatecznie daleko.

Słyszę za sobą brzęk spadającej łyżeczki, służąca nachyliła się i szybko wyszła z jadalni.

Pierwsza część planu powiodła się.

Za chwilę Marek, czarujący, uśmiechnięty, z kilkoma komplementami na ustach, usiadł między Ewą i Lidką, mrużąc do mnie oko.

Taca z opłatkiem okrążyła stół, kryształowe kieliszki wypełniły się barwnymi płynami, uczta wigilijna zaczęła nabierać rozpędu.

Stół jest dość wąski, mogę swobodnie rozmawiać z Lidką, która jest w świetnym humorze, raz po raz wybucha śmiechem.

Przy rybie przypominam sobie, że siedzę ciągle jeszcze z nieobutą nogą. Marek jest zajęty Ewą i nie ma mowy, by mu dać jakiś znak, ale zapewne podsunął mi moją własność z powrotem.

Przejeżdżam nogą we wszystkich kierunkach, ale nie mogę natrafić na zagubioną cząstkę garderoby.

Czyżby zakpił sobie ze mnie?

Ale możliwe, że ktoś przypadkowo pchnął bucik w innym kierunku, ostrożnie, by nie kopnąć Lidki, próbuję dalej...

Jest, tuż obok profesora.

Czym prędzej przysuwam go do siebie, by nie powędrował gdzieś dalej, wkładam nogę do środka, ale nie chce wejść. Marek mógł zadać sobie trochę trudu i rozluźnić sznurowadła, a nie narażać mnie na co najmniej dziwne ruchy.

Właśnie pięta weszła tryumfalnie do środka, gdy służąca zjawiła się z wiadomością, że Marka oczekują przy telefonie.

Poczułem dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Tego nie przewidzieliśmy! Za chwilę stanie komuś ość w gardle; ten nieszczęsny telefon musiał w sam raz przy rybie nastąpić! Od stołu do drzwi jest kilka metrów drogi na jasnym dywanie, i „jasnym jest", jak efektownie wypadnie na nim stopa Marka.

Otarł sobie właśnie usta serwetką, poprosił o pozwolenie wstania i spokojnym krokiem skierował się do salonu.

Jeszcze dzisiaj, gdy wspominam tę chwilę, wyraźnie czuję, jak gdybym wtedy nie jedną, a dwadzieścia ości połknął.

Na obydwu nogach Marka połyskiwały błyszczące lakiery.

Bezradnie spojrzałem dokoła i nagle wzrok mój zatrzymał się na profesorze, którego korpus wykonywał dziwne ruchy na krześle.

— Marysiu, proszę wziąć kota do kuchni.

— Kot śpi w kuchni na swojej poduszce.

— Ach... wydawało mi się, że otarł się o moją nogę — stwierdziła pani domu, siedząca obok profesora.

Sprawa stała się dla mnie jasną. Miałem na nodze but profesora. Temu, widocznie, nowy lakierek uciskał stopę, więc dla ulżenia zdjął go na chwilę i teraz, w rozpaczliwym poszukiwaniu, musiał dotknąć stopą swoją towarzyszkę, wywołując koci efekt.

Na trzech mężczyzn było tylko pięć butów i taka sytuacja nie mogła trwać długo. Najwyższy czas przedsięwziąć pewne kroki, żeby ten stan, który zaczyna nabierać niepokojącego rozpędu, zlokalizować.

Wszedł Marek, trzymając rękę w tyle, uśmiechnął się do mnie znacząco. Więc zdążył już zdobyć brakującą nam rzecz. Gdy usiadł , coś wyraźnie stuknęło o podłogę; co za niezręczność... jeszcze ktoś zauważy.

Nagle Lidka krzyknęła: — Co to jest?! — z
biła ruch jak gdyby chciała zaglądnąć pod s

Moja akcja poszła błyskawicznie w dw
kierunkach: wyciągnąłem kieliszek, przypija
do niej, i wysunąłem nogę po but. Natrafi
na niego, ale w tej chwili ktoś mi go wyszar
spod podeszwy.

Profesor.

Ten również szybko przystąpił od działan
a mając do dyspozycji palce nóg, wyszedł z w
ki zwycięsko. Przechyla się właśnie na pra
przechyla na lewo, na chwilę zamarł, po cz
błogie zadowolenie rozlało się na jego twar
świadczące, iż pewien problem przestał dla n
go istnieć.

Sam zresztą też zaczynam być w nastro
w którym wydaje się, iż zamiast krwi, krą
w żyłach beztroskość; tak niskie sprawy pr
stają być dla mnie ważne.

W salonie p. Mira spojrzała w dół i na
parsknęła śmiechem.

— Przecież pan ma odmienne lakierki na nogach.

— To jest tylko takie złudzenie, łaskawa pani, są id
tyczne.

— Ależ...

— Niech pani spojrzy na Marka.

W jej oczach zaistniała niepewność.

— Wydaje mi się, że też są różne.

— Widzi pani, to są czary wigilijne. Nastąpiło u pani r
dwojenie jaźni... i do tego na temat butów. Proszę rzu
okiem na profesora.

Jej rzęsy zatrzepotały nerwowo.

Nie dziwię się temu, gdyż procesor-doktor mając na jed
lakierek, na drugiej nodze czarny półbucik, mógł podob
efekt wywołać.

— Nie... to jest niemożliwe.

— Proszę się nie obawiać, do jutra minie to pani. Przec
zdarza się nawet, że dzisiejszej nocy ludzie rozumieją mo
zwierząt; ja np. widzę w tej chwili na przestrzał — spoj
łem na nią. — Pani ma, excusez moi, na lewej łopatce z
łony plaster, kształtu półksiężyca...

Zerwała się jak oparzona i zniknęła.

Świeczki na choince dopalały się; nastąpiło rozdanie p
zentów. Marek otrzymał komplet klasyków greckich, op
wionych w skórę. Otworzył Iliadę Homera.

— Menin aeida thea... (tłum.: Muzo opiewaj gniew...)



przeczytał, po czym z pamięci deklamował dalej.

Ewa trzymała szkatułkę z kości słoniowej, otuloną w
ronkę ze srebra, stara turecka robota.

— Jak otwiera się ją?

— Zaraz pani pokażę — położyłem swoją maskotkę
stole.

Nacisnąłem ukryty zameczek, wieko odskoczyło, ale
tychmiast je przymknąłem.

W środku, w niedbałej pozie, tkwił lakierek.

Nadmiar jednego buta może być równie kłopotliwy,
brak jego; wypadłem do hallu, wsadziłem szybko kompro
tujący przedmiot do płaszcza Marka, w pośpiechu ude
łem czołem w wieszak, ale pewne drobne poświęcenie
w ważnych chwilach niezbędne.

Gdy wróciłem, Lidka podeszła do mnie.

— Co się panu stało?

— W tej kasecie tkwił uwięziony od wieków duch star
wezyra i musiałem go wypuścić; z taką siłą wypadł, że p
bił mi oko.

Marek z profesorem trzymali się za rękę i skandowali
przemian boską epopeję, Ewa przeszukiwała przy fortepia
nuty, ja z Lidką usiedliśmy za choinką, z pudłem poma
na kolanach...

Wieczór ten dla wszystkich, ponoć, pozostawił niezat
wspomnienie.

*

Na drugi dzień Marek szarpnął mnie za ramię. Otwo
łem oko.

— Gdzie dałeś but?

— Przecież mówiłem, że do płaszcza.

— Ale nie do mojego.

Otworzyłem drugie oko.

— Do czyjego, na Jowisza!

— A bo ja wiem?... Może mecenasa, może wyrzuciłeś
za okno...

Po długich naradach postanowiliśmy obarczyć Mar
kilkoma zaufanymi funkcjami.

Skutek był ten, że buty wróciły do swoich nóg, ale pe
profesor, pewien radca, pewien prezes, do dziś dnia nie m
sobie wytłumaczyć, na zasadzie logicznego rozumowa
szeregu wypadków, zaistniałych owej nocy.

A najważniejsze:: Przepowiednia arabska spełniła się
ramidalnie.

Marysi, w niedługi czas potem, przypadła duża wygr
na loterii, Marek, po ślubie, otrzymał posadę w Turcji i m
kontynuować swe ułubione studia nad miejscami, na któr
ongiś strzała Parysa trafiła przysłowiową piętę Achilles
kot, przez nieuwagę został zamknięty w komórce, gdzie b
dużo szynki... jednym słowem, lakierki przyniosły wszys
szczęście.

Kto nie wierzy, niech się sam na sobie przekona, tylko
wolno pomylić nóg, a użycie pantofla filcowego uważa
jako punkt karny.

„ZDROWYCH I BEZTROSKICH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM

ŻYCZY

REDAKCJA



„...nam się objawił!“...

Nowinę pierwszej gwiazdy obwieści bezkres ciemny,
Wiatr cicho kolędę zagra na zimnostrunnej cytrze.
I święta noc — jedyna — najdziwniejszą z Tajemnic
jak śnieg na ziemię spadnie w oczekującą ciszę.

Owity w giezłka śniegu maleńki Przeogromny
popłynie dokoła ziemi na księżycowej gondoli
pomiędzy żary choinek... w milczące wigilią domy...
tam, gdzie się biały opłatek ciężarem łez rozmodli...

Po zmierzchach zadrży niebo od ludzkich łkań i kolęd —
uklękną wszystkie gwiazdy i klękną myśli wszystkie,
że Bóg chciał wziąć na siebie i ciało i niedole
by umęczonym ludziom stać się bratnim i bliskim.

Niegdyś ubodzy i prości w Jego oczęta spojrzeli...
kto jest nad innych uboższy — dziś prawo ma największe!
za błyskiem gwiazdy przewodniej, za szumem skrzydeł anielich
serce pobieży, by przebiec tęsknoty bezmierną przestrzeń.

Rysował specjalnie dla I. K. P. prof. St. Szwarc

M. A. Hessel



BABA ŚWIĄTECZNA

KRYSTA OPALIŃSKA

Mężczyzna, to święte stworzenie. Cierpliwość jego o wiele przewyższa anielską, posłuszeństwem zagania w kozi róg najpotulniejsze dziecko, baranek — to lew w porównaniu z panem (?) domu. Dotyczy to zwłaszcza pewnego okresu życia żonatego mężczyzny, okresu znienawidzonego ze wszystkich sił duszy przez brzydszą połowę genus humanum. Mianowicie czas polowania na pająki, czyli okres przedświąteczny.

Jedna jest tylko klęska domowa, przewyższająca porządki: malowanie mieszkania. Przeprowadzka (potrójna liczy się za jeden pożar) jest mniej więcej to samo, co porządki. Żaden kąt, żadna deszczółka, żadna skorupa (pęknięta, lub cała w kredensie) nie uchroni się wówczas przed karzącą ręką pani domu. Wszystko — czy potrzebne na święta, czy nie — myje się, glancuje, pucuje, świechta tak skrupulatnie, jakby od tego zależały losy świata, szczęście ludzkości i koniec wojny.

Co znaczysz wówczas, mężczyzno? Jesteś niedołęgą, fajtłapą, ślimakiem, żółwiem, idiotą, kretynem. Znaczysz o wiele mniej niż zero, ba — znacznie mniej niż dwa zera, z których wśród hukań i warczeń wyrzucą cię na łeb, by szorować proszkiem lavoir'y i muszlę... Nieszczęsny! Najrozsądniej uczynisz (jeżeli oczywiście posiadasz tyle inteligencji, samodzielności i życiowego tupetu), gdy zbawczo porwiesz kapelusz i wyrwiesz z kopyta do knajpki, przyjaciół, lub przyjaciółki... które to istoty pod wielu względami mają o wiele więcej rozumu (i wdzięku...), niż ślubna pogromczyni owadów.

Porządki świąteczne, ta najstraszniejsza z męskich klęsk, odbywają się mniej więcej w taki, powszechnie znany już i powszechnie praktykowany sposób:

Pani domu wdziewa szlafrok spod ciemnej gwiazdy i przepasuje go złowrogo brudnym, zaszarganym sznurem, lub też starą krawatką męża, szczególnie nadającą się do tak wielkiego celu. Strój uzupełnia oczywiście nocna koszula, zwisająca żałośnie po obu stronach nóg (z nogawek reform) i plątająca się po pończochach względnie skarpetach. Szczyt uzbrojenia stanowią stare wydeptane pantofle. Na głowie — chustka wciśnięta groźnie na brwi. Zła, jak diabeł, rozchełstana, zdenerwowana, ohydna i rozczochrana mimo chustki — domowe bóstwo, psiakrew! — ujmuje za insygnia swej władzy: miotłę, trzepak, szczotki, drągi itp.

Pięćdziesięcio- ba, sześćdziesięciolatka ze zręcznością Sylfidy daje susy w sufit, formalnie skacze po ścianach, łazi jak wiewiórka (może raczej jak małpa...) po szafach, kredensach i drabinach, wiruje po obrazach, po prostu w powietrzu unosi się — w pogoni za pajęczyną i pająkami. Bogu ducha winien „zwierz" ujrzawszy śmiertelne niebezpieczeństwo i posłyszawszy zamęt, bierze nogi za pas i zmyka, a „pani" za nim z taką furią i walecznością, że starczyłaby ona na wyrżnięcie w pień całej dywizji nieprzyjacielskiej.

Potem w mieszkaniu nastaje sąd ostateczny: meble wirują w powietrzu, sterty białych i kolorowych betów, pardon: dywany... koronki... serwetki... — oblęgają uroczyście balkony, okna i podwórza. O wolnym krześle lub spokojnym kącie marzy tylko półgłówek, nieświadom wielkich spraw tego świata...

Panowie domu (in spe) — biada wam.

Obiadu oczywiście nie ma. Czyżbyś istotnie był aż tak naiwny, by liczyć na to? Idź precz, bo gdziekolwiek się ruszysz, staniesz, czy usiądziesz — przeszkadzasz. Milcz, jakbyś mowę stracił (masz zresztą rutynę), bo cokolwiek powiesz, będzie to oczywisty nonsens. Nie tknij niczego, bo cokolwiek uczynisz ty, czy ktoś kolwiek inny, a nie ona sama (tak!!) — będzie źle. Nie waż się stać bezczynnie, bo usłyszysz, że masz ołów mniej więcej na końcu stosu pacierzowego..., a potem za tym wypomną twej matce „zdolności" wychowawcze, dowiesz się bowiem, że wychowała niedołęgę, który zginie, nie dzierżąc się babskiej kiecki.

W ogóle najlepiej zniknij (jeżeli możesz...), jak pył... jak atom... jak mikron... jak elektron... — bo tym jesteś w istocie. Przepracowana, zziajana, przemęczona towarzyszka życia, może nieopatrznie lunąć cię miotłą lub trzepakiem.

Jeżeli los był dla ciebie tak łaskaw, że pozwolą ci ujść z życiem na czas sprzątania, czeka cię gehenna po powrocie do domu. Musisz być nielada ekwilibrystą, bo nie wolno niczego trącić, tknąć, użyć, a już broń Boże: przesunąć.

— Nie wchodź do pokoju. Zwariowałeś? Dopiero posprzątałam. Nie łaź po podłodze. Nie widzisz, że pastowane? Durniu. Oooo... papierek leży. Skąd się tu wziął? Co to? Kto naprószył? Dopiero się człowiek naharował jak koń i już pełno świństwa wszędzie... Nie wchodź tu. Gdzieś poszedł? Rany Boskie czego tu stoisz? Co za człowiek. Nie widzisz, że tu właśnie sprzątam? Oczu nie masz, czy co? Gdzie idziesz? tam już myte!!

Zakrzyczany, popychany, znieważany teoretycznie i praktycznie, patrzysz umęczonym wzrokiem na żonę lub ewentualnych towarzyszy niedoli. Ponieważ żona zbrzydła ci już dawno, więc brzydnie ci życie. Męczenniku, zbierz nerwy do kupy: jeszcze będzie pieczenie ciast.

Jeżeli chociaż życiem swoim rozporządzasz dowolnie, udaj się chyłkiem i zdjąwszy buty, by nie zaprószyć podłogi (najlepiej przeleć aeroplanem!) — do świeżo wyglancowanej jadalni i tam, pod omiecionym doszczętnie sufitem, na znakomicie wyczyszczonej lampie — powieś się.

Jeżeli tego nie uczynisz (t c h ó r z u :) czekają cię święta...

Zamiast iść do przyjaciół lub na przechadzkę, pilnujesz żony, która jest chora i leży w łóżku. Boli ją głowa, ma ciemno w oczach, kolki w krzyżach, kurcze w brzuchu i w ogóle, łamanie w kolanach, łokciach i stawach. Jęczy, płacze i narzeka na straszne życie mężatki. A ty szeptasz współczująco, lękliwie i... fałszywie: „Co cię boli, kochanie" — zamiast wziąć lagę i do reszty przetrącić kości babie świątecznej... Tak uczynisz, jeżeli jesteś mężczyzną, a jeżeli nie uczynisz — nie jesteś nim i zasługujesz na znacznie więcej, niż cię spotyka...

— — — — — — — — —

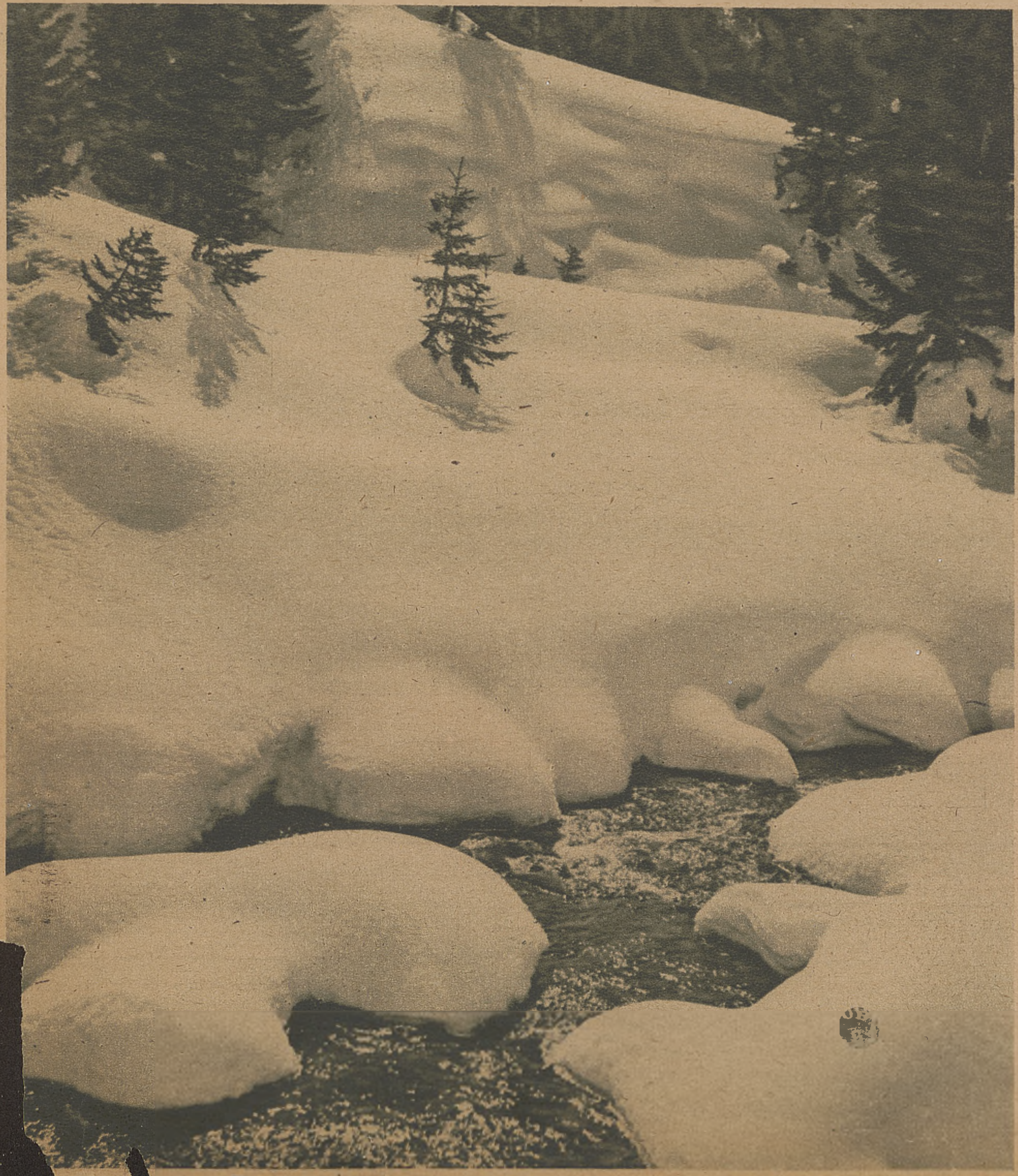
Post scriptum: Panowie! Żeńcie się ze mną. Szybko. Solidnie. Tanio. Jam jest pewność i zaufanie...

Bo jeżeli nawet będę wypłaszać pająki, to tak aby nie wypłaszać domowników. Gdyby nawet udało mi się, a raczej zdarzyło, zabić to pożyteczne zwierzę, to nigdy na waszej głowie! Nie będziecie musieli latać aeroplanami po własnym mieszkaniu, które będą (mieszkania, nie aeroplany) dla nas, a nie na odwrót: — my dla mieszkania. Również nie będziecie musieli chuchać i dmuchać na pseudozielone badyle (czytaj: doniczkowe rośliny), uniemożliwiające wam dojście do okien, a powietrzu dojście do mieszkania.

Gdy zabłąka się kłak, czyli tak zwany kot względnie kudeł, za tapczanem, szafą, czy etażerką, postaram się usunąć go grubo przed świętami, by nie chorować w najmilszy okres, lecz mieć przyjemność (wy też!).

Do mnie, panowie. Pierwszeństwo mają stuprocentowi mężczyźni z lagą w ręku. Lagę powiesimy w szafie i pokażemy światu, jak wygląda szczęśliwe współżycie. Decydujcie się szybko. Po t a k ą żonę zgłoszą się przecież miliardy mężczyzn z obydwóch półkul.





CHOINKI

W cichym lesie
koło rzeczki
rosły piękne
choineczki:



latem — w rosach
się kąpały,
zimą — w biel się
przystrajały!...



Aż raz... przyszło
kilku drwali,
którzy drzewka
pościnali —





i zawieźli je
do miasta,
gdzie raz na rok
las „wyrasta!"...



A kto z kupnem
się pospieszył,
ten się z drzewka
w Święta cieszył!...

E. K.

KĄCIK BRIDŻOWY NR 8

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Zważywszy to, że premia „przechodzi" — gra ta niepozbawiona jest pewnego ryzyka.

Dlatego zwykle wylicytowuje się taką zapowiedź szlemika lub szlema — przez podniesienie partnera o punkt wyżej niż tego wymaga dograna, dając w ten sposób do zrozumienia, że pragnie się dolicytować gry z premią.

Licytacja zbyt słaba i nie oparta na zasadach wywołać może ze strony partnera odpowiedź zalicytowania gry z premią, co przy nieprawidłowym anonsie stanowić może o kosztownej wpadce.

Zwykle jeśli partner podnosi dokładnie na tyle, ile tego wymaga dograna to znaczy, że likwiduje on do pewnego stopnia licytację i że pragnie tylko osiągnąć manszę.

Jeżeli zachodzi taki wypadek, można przy bardzo silnej karcie zainwitować do gry z premią, podnosząc jeszcze o punkt, ale samemu lepiej nie ryzykować zapowiedzenia szlemika; kto wie czy podniesienie partnera nie było wyciągnięte do „maximum".

Impas — to położenie na **trzeciej** ręce nie najstarszej karty (bezapelacyjnie biorącej lewę), ale takiej, która zważywszy na rozkład może wystarczyć do zdobycia lewy. Impasować może oczywiście tylko rozgrywający, on bowiem ma do rozporządzenia 26 kart (13 w ręce i 13 wyłożonych na stole) — i decyduje wyłącznie o tym, którą kartę położyć. Mając **po obu stronach** swych kart nieprzyjacielskie karty przeciwników — może on tak manipulować, aby osiągnąć jak największą ilość lew.

Np. jeśli A rozgrywa i ma w ręce 2 młódki karo, a na stole asa i damę karo, może starać się osiągnąć obydwie lewy przez zastosowanie impasu, a mianowicie — zagrywa młódkę karo — i na 3-ciej ręce ze stołu (u B) — kładzie **nie** asa (który na pewno weźmie lewę) — lecz damę, która może wystarczy na wzięcie tej lewy: będzie to miało miejsce wówczas, jeśli król karo znajdować się będzie w kartach X-a. Jeśliby za zagraną z ręki A młódkę, X położył króla — zabije on go asem ze stołu: jeśli wyłoży młódkę — dama ze stołu starczy, bo Y króla już nie ma.

Rozkład jest zatem szczęśliwy dla A wówczas, jeśli król leży u X-a, czyli **przed** asem, znajdującym się u B; impas damą udał się.

Natomiast jeśli króla ma Y, impas będzie nieudany, ale rozgrywający A nic na tym nie zyska kładąc asa z kart B (Y nie położy króla, chyba, że ma „singla" — co jest bardzo rzadkim wypadkiem i weźmie nań lewę później).

Sens zatem impasu jest ten: jeśli rozkład jest dobry — można przez impas zyskać lewę, jeśli jest zły, niczego się nie traci, bo tę lewę na króla umieszczonego za asem trzeba oddać wcześniej czy później.

Impasowanie jest zatem niesłychanie ważną i częstą czynnością brydżową i stąd nawet przysłowie: „impas jest duszą gry"

Skutkiem impasu jest zatem „łapanie" figury i nieoddanie nań lewy przy szczęśliwym rozkładzie.

Wspomnieliśmy, że impasem jest położenie na 3-ciej ręce karty nie najstarszej, mogącej wystarczyć na wzięcie lewy — zatem jeśli A rozgrywa, ma na stole (u B) czyli na 3-ciej ręce licząc od swojej np. asa z damą — musi zagrywać z ręki, natomiast jeśli asa z damą ma we własnej ręce (A), musi zagrywać ze stołu (B), aby w ten sposób być trzecią ręką w stosunku do stołu, z którego rozgrywa.

Ważne jest, aby stosować impasy wówczas, jeśli one istotnie mogą dać zarobek lewy.

Oczywiście zawsze opłaca się łapać króla, jeśli się ma w jednej ręce asa z damą. Inaczej się jednak sprawa przedstawia, jeśli się ma na jednej ręce damę, zaś na drugiej asa.

W tym miejscu zwracamy uwagę na obowiązującą zasadę kontrpartnerów: na drugim ręku bije się zawsze figurę figurą.

Wyobraźmy sobie zatem, że A rozgrywa; ma w ręce damę z młódkami, zaś na stole u B asa z młódkami: jeśli zagrywa z ręki damą, X — w myśl zasady „bić figurę figurą", położy króla, — zaś ze stołu musi iść as; król został złapany, ale żadnego zarobku lewy nie było: kontrpartnerzy wezmą lewy na waleta, 10, 9 — itd. — para zaś AB — tylko na asa, co bez impasu było bezsporne. Stąd wniosek, że łapać króla warto, jeśli się ma na jednej ręce asa, a na drugiej damę **co najmniej** z waletem — damę można łapać jeśli się ma oprócz waleta co najmniej 10-kę itd. Mając na jednej ręce asa z młódkami, na drugiej damę z młódkami i pragnąc osiągnąć lewy i na asa i na damę, należy sobie życzyć, aby król leżał pozornie źle, czyli **nie przed**, a właśnie **za asem**, ale przed damą — i grać należy młódką do asa i z powrotem młódką od asa do damy.

Np. A ma damę, 2, 3, 4 — na stole u B — as, 5, 6, 7. A winien zagrać z ręki 2-ką, zabić na stole asem (a nuż ktoś ma singla króla), potem ze stołu 5-ką i jeśli król leży „dobrze" — u Y — spadnie na tę młódkę zagraną ze stołu — i dama w ręce A obrobi się i w następnych ruchach weźmie lewę.

Jeżeli się ma 2-gą damę, — należy grać od razu młódką **spod asa.**

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 8
(Paliwoda-Matiolański)

B:
♠ K.D.4.
♥ W.10.2.
♦ 3.2.
♣ As.K.D.4.3.

X:
♠ As.10.7.6.
♥ —
♦ D.10.9.8.7.
♣ W.10.9.8.

Y:
♠ W.5.
♥ 9.8.7.6.5.
♦ K.6.5.
♣ 7.6.5.

A:
♠ 9.8.3.2.
♥ As.K.D.4.3.
♦ As.W.4.
♣ 2.

A rozgrywa kiery i robi szlemika. X bierze lewę na Asa pik a następnie atakuje dziesiątką karo. Jak musi A prowadzić dalszą grę?

Rozwiązanie problemu Nr 7

	X	B	Y	A
1 wyjście	karo D	karo K	karo 5	karo 4
2 „	pik 8	pik 3	pik 2	pik As
3 „	pik W	kier 4	pik 4	pik 5
4 „	karo 8	karo 2	karo 6	kier 3
5 „	pik D	kier 5	pik 7	pik 6
6 „	kier 10	kier K	kier 2	kier 7
7 „	kier W	kier 6	kier D	kier As
8 „	trefl 8	trefl W¹)	trefl 2	kier 8
9 „				kier 9²)

UWAGI: 1) Przez zrzutkę waleta trefl wyrabiają się u A dobre nożyce w treflach w wypadku zrzucenia przez X na 9-tą lewę damy trefl.

2) Logicznie grając X nie powinien przy 9-tej lewie zrzucać pika ani kara; co jednak nie wpływa na całość rozgrywki.

1-szy wariant

	X	B	Y	A
9 wyjście	pik K	trefl 4	trefl 5	kier 9
10 „	karo 10	karo 3	pik 9	pik 10
11 „	trefl D	trefl As	trefl 6	trefl 3
12 „	karo W	karo As	karo 9	trefl 7
13 „	trefl K	karo 7	trefl 9	trefl 10

2-gi wariant

	X	B	Y	A
8 wyjście	karo 10	trefl W	trefl 2	kier 8
9 „	trefl 8	trefl 4	trefl 5	kier 9
10 „	trefl D	trefl As	trefl 6	trefl 3
11 „	karo W	karo As	karo 9	trefl 7
12 „	pik K	karo 7	trefl 9	trefl 10
13 „	trefl K	karo 3	pik 9	pik 10

3-ci wariant

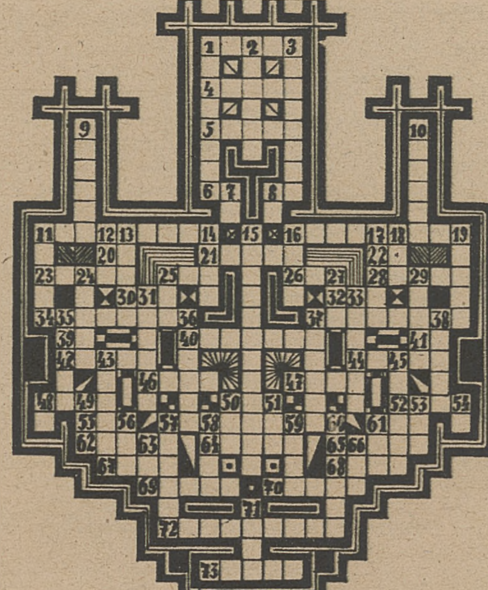
	X	B	Y	A
8 wyjście	trefl 8	trefl W	karo 9	kier 8
9 „	trefl D	karo 3	pik 9	kier 9
10 „	trefl K	trefl As	trefl 2	trefl 3
11 „	karo 10	karo As	trefl 5	pik 10
12 „	pik W	trefl 4	trefl 9	trefl 10
13 „	karo W	karo 7	trefl 6	trefl 7

ROZRYWKI UMYSŁOWE

REBUS
Ul. Kawalerowicz — Kraków



KRZYŻÓWKA
Ul. W. Czajkowski z Wieliczki

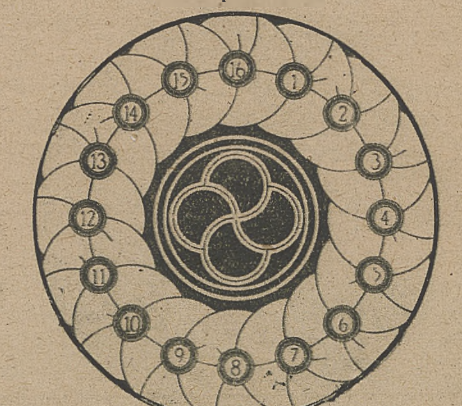


Znaczenie wyrazów.

Poziomo: 1. czynność. działalność, 4. pocisk, 5. główny narząd organizmu, 6. chemiczny symbol glinu, 8. nuta, 11. najmniejsza część świata, 16. część wojska wyposażona w armaty, 20. ojcowie (skrót), 21. rozkaz inaczej, 22. chemiczny symbol irydu, 23. ptak — bohater przesądów (wspak), 25. woda w stanie twardym, 26. rodzaj poezji, 28. błękitny szpat, 30. struś australski, 32. pływający kawał lodu, 34. miasto warowne, 37. kartka z napisem, oznaczająca zawartość naczynia, do którego jest przymocowana, 39. nazwa nuty, 40. mąż wsławiony czynami wojennymi, 41. nuta, 42. metal szlachetny, 44. moc, nawała, 46. trop, 47. pismo dyplomatyczne (wspak), 48. fus inaczej, 50. podarunek, 52. tytuł szlachecki w Anglii, 55. wąż olbrzymi, 57. bilet wizytowy, 61. największy dopływ górnego Dunaju, 62. strach inaczej, 64. układ, umowa, 65. rodzaj sztuki scenicznej, 67. napój wyskokowy, 68. natarcie (w sztuce wojennej), 69. opust, inaczej, 70. ciało nadające barwę innym materiałom, 72. puszka do zbierania pieniędzy, 73. drążek z żelaznym hakiem i ostrzem.

Pionowo: 1. urząd ambasadora, 2. obłok inaczej, 3. wyższy zakład naukowy, 7. przysłówek, 8. chemiczny symbol fluoru, 9. roślina zwrotnikowa Azji, Ameryki i Afryki, 10. warzelnia piwa, 11. roślina ozdobna, 12. kolej żelazna, szyny, 13. welocyped inaczej, 14. pasmo górskie na zachodnim wybrzeżu Południowej Ameryki, 15. towarzyszący, albo wtórujący na muzycznym instrumencie, 16. gaz (pierwiastek), 17. krzew z rodziny oliwowatych, roślina ozdobna, 18. okres czasu, zapoczątkowany niezwykle ważnym wydarzeniem, 19. główny pień tętnicy, 24. zwierzę domowe, 25. wolna przestrzeń między wałem a łożyskiem. 27. pismo stwierdzające pewną czynność, 29. trawa inaczej, 31. słabość inaczej, 33. rysunek wyryty na drzewie, miedzi albo stali, 35. roślina z trawiastych, 36. moneta perska, 37. wiersz opiewający miłość, 38. rodowity mieszkaniec Krymu. 43. upiększenie inaczej, 45. narzędzie ślusarskie, 48. przyimek, 49. miasto w Finlandii, 50. dziewczęcy ukłon inaczej, 51. plemię, pokolenie, 53. zaimek, 54. nazwa nuty, 56. większa rzeka w Szwajcarii, 57. wolna posada, 58. zwykłe pierwsze danie (strawa), 59. naczynie ozdobne, 60. jeden z większych półwyspów Azji. 61. drzewo inaczej wierzbą zwane, 63. woda wrząca, 66. nazwa litery greckiej, 71. ptak brodzący spokrewniony z bocianem i czaplą.

DOOKOŁA CYFR
Ul. Gąsiorowski



Znaczenie wyrazów: 1. umówiony znak, 2. miasto w Europie, 3. ptak, 4. muza grecka, 5. góry w Europie, 6. belki poziome, łączące parę krokwi w połowie ich długości, 7. ludowy taniec na wschodzie lub pętla, 8. ubogi mnich mahometański, 9. moneta szwajcarska, 10. tkanina z wełny, 11. legendarny czarnoksiężnik niemiecki z XVI w., 12. wyraz łaciński używany w językoznawstwie, 13. l. mn. hełm korkowy, 14. półwysep w Azji wschodniej, 15. część systemu krwionośnego, 16. sławny wynalazca.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK z Nr. 49

ZAGADKA GRZEBIENIOWA

1. Koran, 2. Satyr, 3. alibi, 4. jelec, 5. Lukka, 6. uncja, 7. zakon.

KRZYŻÓWKA

Wyrazy poziomo: 1. Samson, 4. mangan, 7. okap, 8. Rigi, 9. lotos, 11. etylen, 12. kolarz, 13. flisak, 15. deptak, 17. tupet, 18. mydło, 19. szal, 20. ananas, 21. aromat.

Wyrazy pionowo: 1. sole, 2. marynista, 3. neon, 4. mrok, 5. gigantyzm, 6. Nisz, 9. legat, 10. sonet, 13. fama, 14. kurs, 16. dera, 18. kult.

KĄCIK SZACHOWY NR 29

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Obrona łotewska

(Ciąg dalszy)

Wariant IV, obrona C, subwariant b, kontynuowanie 3, gra 1, subgra 1.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 f7—f5
3. Gf1—c4? f5×e4!
4. Sf3×e5 Hd8—g5
5. d2—d4! ¹) Hg5×g2
6. Hd1—h5+ g7—g6 ²)
7. Gc4—f7+ Ke8—e7?
8. Gc1—g5+ Sg8—f6
9. Hh5—h4 Hg2×h1+
10. Ke1—d2 Gf8—g7
11. Sb1—c3 Hh1×a1 ³)
12. Gg5×f6+ Gg7×f6
13. Sc3—d5+ Ke7—f8
14. Hh4×f6 +

¹) Także w ten sposób uzyskują białe wyrównanie. Pozycja ta może powstać z obrony Philidora.

²) Jeśli ustępuje król, wówczas też wygrywają białe: 6 . . . K—d8 7. S—f7+ K—e8 (K—e7 8. H—e5 mat) 8. S—d6+ K—e7 9. H—e5+ po czym 10. H—e8 mat; albo 6 . . . K—e7 7. H—f7+ K—d6 8. H×f8+ itd.

³) Gdyby teraz grały czarne 11 . . . H—g2 wówczas nastąpiłaby ta sama gra.

Gdyby czarne nie brały wieży h1 (w 9 ruchu), lecz od razu broniły wieżę: 9 . . . G—g7 wówczas wygrałyby białe ruchem 10. S—c3!

Wariant IV, obrona C, subwariant b, kontynuowanie 3, gra 1, subgra 2.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 f7—f5
3. Gf1—c4? f5×e4!
4. Sf3×e5 Hd8—g5
5. d2—d4! Hg5×g2
6. Hd1—h5+ g7—g6
7. Gc4—f7+ Ke8—e7?
8. Gc1—g5+ Ke7—d6
9. Se5—c4+ Kd6—c6
10. Sb1—c3! d7—d5 ¹)
11. Sc4—e5+ Kc6—b5
12. Sc3×d5+ Kb6—a6
13. Hh5—e2+ b7—b5
14. Sd5×c7+ Ka6—b7 (—b6)
15. He2×b5+ Kb7×c7
16. Hb5—a5+ Kc7—b7
17. Gf7—d5 Sb8—c6
18. Gd5×c6+ Kb7+—b8 +

Bilguer VIII wyd.

¹) Gdyby 10 . . . d6 to 11. G—e8+ G—d7 12. G—e3 itd.; w razie 10 . . . H×h1 rozstrzygałoby 11. K—d2 e3+ 12. G×e3 itd.

²) Nastąpi 19. S—d7+! G×d7 20. H—d8+ (lub od razu 20. G—f4+) G—c8 21. G—f4+

Odpowiedzialność całego tego sposobu gry ponosi jedynie słaby ruch 7 . . . K—e7?

Wariant IV, obrona C, subwariant b, kontunuowanie 3, gra 2, subgra 1.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 f7—f5
3. Gf1—c4? f5×e4!
4. Sf3×e5 Hd8—g5
5. d2—d4! Hg5×g2
6. Hd1—h5+ g7—g6
7. Gc4—f7+ Ke8—d8! ¹)
8. Hh5—g5+? ²) Hg2×g5
9. Gc1×g5+ Gf8—e7
10. Gf7—b3 Ge7×g5
11. Se5—f7+ Kd8—e7
12. Sf7×g5 ³) Sg8—f6
13. Sb1—c3 Sb8—c6
14. 0—0—0 Sc6—a5!
15. Sc3—d5+ Sf6—×d5
16. Gb3×d5 c7—c6
17. Gd5×e4 Ke7—f6!
18. f2—f4 d7—d5 +

Blümich
XV wyd. podr. Dufreme'a

¹) Jest to najlepsza odpowiedź czarnych na ruch 7. G—f7+

²) Słaby ruch. Właściwym ruchem jest 8. G×g6!, który omówimy przy subgrze 2 w odgałęzieniach 1, 2, 2a. 3, 4.

³) 12 . . . S×h8? S—f6! i białe straciłyby skoczka +

W partii Grob—Dr. Tartakower (t. m. Meran 1926), w której białe cofnęły się 10. G—d5 (w poza tym identycznej pozycji) przegrały białe skutkiem rozbicia skrzydła królewskiego.

CZĘŚĆ OGÓLNA

STUDIUM Nr. 13

Dr. J. Fritz (Sah 1940, III nagr.)

Czarne: Kb5, Gc4, Ge1, pion: g3 (4)
Białe: Kf3, Wa3 (2)

Studium 2+4=6.
Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie problemu Nr. 13 (Havel):

1. S—h5 (2. H×g6+ groźba. I. 1 . . . S— 2. S—f3 i 3×
II. 1 . . . g×h 2. H—f5+ i 3×
III. 1 . . . K×h5 2. H—g6+ i 3×
IV. 1 . . . W—g2 (W—h3) 2. S—g2 i 3×
V. 1 . . . G—f4 2. H×G i 3×

Partia Nr 51

Białe: Taylor — Czarne: NN.

Ruska obrona.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 Sg8—f6
3. Gf1—c4 Sf6×e4
4. Sb1—c3 Se4—c5
5. Sf3×e5 f7—f6

białe matują w 8 ruchach¹).

¹) A. 6. H—h5+ g6 7. G—f7+ K—e7 8. S—d5+ K—d6 9. S—c4+ K—c6 10. S—b4+ K—b5 11. a4+! K×b4 12. c3+ K—b3 13. H—d1+ B. 6. H—h5+ K—e7 7. H—f7+ K—d6 8. S—b5+ K×e5 9. H—d5+ K—f4 10. g3+ K—g4 11. h3+.

Partia Nr 52

Białe: Tolosa y Carreras — Czarne: Mascaro

Obrona Philidora.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 d7—d6
3. d2—d4 f7—f5
4. Gf1—c4 f5×e4
5. Sf3×e5 d6—d5
6. Hd1—h5+ Ke8—e7

i białe matują w 5 ruchach: 7. H—f7+ K—d6 8. H×d5+ K—e7 9. S—g6+ h×g6 10. H—e5 G—e6 11. H×e6+.

Partia Nr 53

Białe: A. Meck — Czarne: NN.

Gambit królewski.

1. e2—e4 e7—e5
2. f2—f4 e5×f4
3. Sg1—f3 d7—d5
4. Sb1—c3 d5×e4
5. Sc3×e4 Gc8—g4
6. Hd1—e2 Gg4×f3??
7. Se4—f6 mat.

Partia Nr 54

Białe: M. Braune — Czarne: NN.

Gambit królewski.

1. e2—e4 e7—e5
2. f2—f4 e5×f4
3. Gf1—c4 g7—g5
4. h2—h4 f7—f6
5. Hd1—h5+ Ke8—e7
6. Hh5—f7+ Ke7—d6

białe matują w 3 ruchach: 7. e5+ K×e5 8. H—d5+. 7. e5+ d×e5 8. H—d5+ K—e7 9. H×e5+. 7. e5+ K—c5 (—c6) 8. H—d5+ po czym 9. H—b5+.

Partia Nr 55

Białe: Imbusch — Czarne: Goering
(grana w Monachium w r. 1899)

Gra gońca królewskiego.

1. e2—e4 e7—e5
2. Gf1—c4 Sg8—f6
3. Sb1—c3 Sf6×e4
4. Gc4×f7+ Ke8×f7
5. Sc3×e4 Sb8—c6
6. Hd1—f3+ Kf7—g8?
7. Se4—g5! Czarne poddały się, gdyż na groźby H—d5+ i H—f7 nie ma ratunku.

Partia Nr 56

Białe: Greco — Czarne: NN.

Fianchetto di donna.

1. e2—e4 b7—b6
2. d2—d4 Gc8—b7
3. Gf1—d3 f7—f5
4. e4×f5 Gb7×g2
5. Hd1—h5+ g7—g6
6. f5×g6 Sg8—f6
7. g6×h7+ Sf6×h5
8. Gd3—g6 mat.

Partia Nr 57

Białe: F. A. Crowl — Czarne: W. F. Coultas
t. sch. Melbourne 1929.

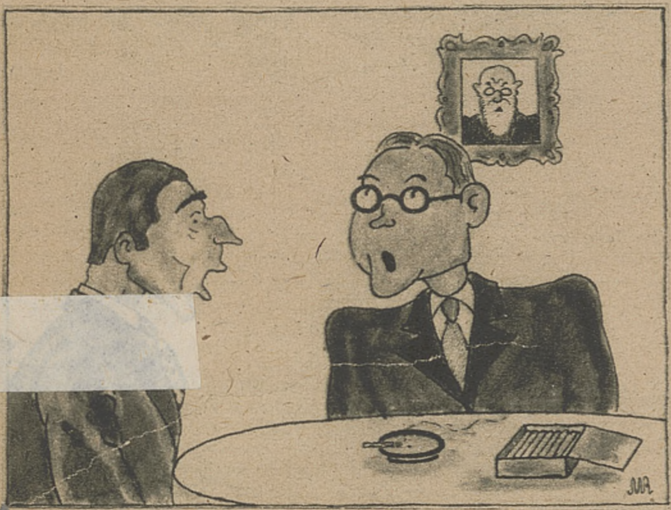
Gambit królewski.

1. e4 e5
2. f4 e×f4
3. G—e2 d5
4. e×d5 H×d5? (S—f6!)
5. S—f3 S—f6
6. S—c3 H—a5
7. 0—0 c6
8. H—e1 G—e6
9. d4 G—b4
10. G—c4 S—d5
11. G×d5 c×d5
12. S—g5 H—b6? (0—0!)
13. W×f4 G—e7
14. S×e6 H×e6 (f×e6!)
15. H—f2 S—d7
16. G—d2 0—0
17. Wa—e1 H—d6
18. S—b5 H—c6
19. W×e7 H×b5
20. Wf×f7 S—f6
21. W×g7+? (H×f6!) K—h8
22. H—h4 h5
23. H—g5 Czarne poddały się.



— *Panno Helu, nie poznałem dziś ojca pani. Znowu ściął brodę!*
— *Owszem, choć wcale nie chciał. Mama jednak powiedziała, że przed świętami kanapa musi być w końcu wypełniona.*

Rys. Paliwoda-Matiołański



— *Ile płacisz za mieszkanie?*
— *100 złotych miesięcznie.*
— *Z góry czy z dołu?*
— *Bo ja wiem? Ja mieszkam tu dopiero pół roku...*

Rys: R. Muchnicki — Kraków

— Jak długo sypia pan przez dzień — zapytuje lekarz.
— Dużo, do trzech godzin — odpowiada pacjent.
— Ależ to grubo za mało, mój drogi panie, jak pan to może wytrzymać?
— Ja przecież poza tym śpię w nocy 8 godzin.

*

— Pięć złotych mam ci pożyczyć? I przez taką drobnostkę przeszkadzasz mi w ciężkiej pracy?
— No, to pożycz mi dziesięć.



Póki nieznałem Cię, Pani,
pókim Cię nie znał,
myślałem — sto kras jest na niej!
Niestety — starszaś jest pani
niż przepaść gwiezdna.

Pókim nie czytał Cię pani
pókim nie czytał.
myślałem — talent nie tani —
Niestety piszesz o, pani
ot, jak kobieta!

NIE MA JAK GOŚĆ W WILIĘ!

— Cóż ja pocznę, moi mili?
Mam dziś gości mieć na wilii,
a tu w mieście zaraz rano
wszystkie ryby wysprzedano...

— To nie powód do rozpaczy.
Brak ryb teraz nic nie znaczy,
gdyż dyspensy są od postu:
Dajże mięsa im po prostu.

— Mięso podać? Okropności,
spałaszują całą świnię!
Ryb mi trzeba, w nich są ości,
a gdzież ości w wieprzowinie?

W tym przyjemność ma się całą.
Kiedy goście są na wilii,
że ryb biorą bardzo mało,
by się ością nie zdławili...

Wujcio z Komina

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

PRZY OPŁATKU

Co mam życzyć i komu? Wielka to jest sztuka!
Dowcip jest dziś rzadkością, jak karp albo szczupak...
Przy tym, jak łgać, to dobrze. A gdy powiem szczerze
co wszystkim życzę — na łbie stłuką mi talerze.

Redaktorowi życzę, potrząsając dłonią,
by świat pękał ze śmiechu nad ostatnią stroną
czyli, że wpierw Mu życzę wypełnienia życzeń:
by znalazł humorystę z mózgiem i dowcipem...

Cóż życzyć Czytelnikom (gdy mam się ośmielić...)?
Humorem chcę się z Wami jak opłatkiem dzielić!
Chociaż jest nieco ...ciemny (z przydziałowej mąki)
ale jest nie na kartki... Więc go weźcie z rąk mi!

Kolegom redakcyjnym treść mych życzeń znana...
bo zresztą treść ich życzeń dla mnie(!) jest ta sama...
Zaś sobie życzę: taki ujrzeć wreszcie dowcip,
abym się całą gębą śmiała!! nie z grzeczności...

Krysta Opalińska

KAŻDY MEDAL MA DWIE STRONY

Nie tak to illo tempore bywało:
Ryb przywożono na wilię kadź całą.
Ciasto na strucle nóżkami dziewczynki
w kadzi miesiły, a z wora rodzynki
kucharz w nie sypał. Jaj kop dziesięć może
i centnar cukru szedł w tym dniu we dworze
i wypijano całe stągwie wina
i na pasterkę jechano w humorze
wśród śmiechów, z srebrnym dzwonieniem janczarów
sanie pędziły w zaśnieżony parów.
I tylko taki, jak ja, biedaczyna
wtedy też nie miał na wilię nektarów.
Zamiast sandaczy jadł w wilię prażuchy,
i pijał wodę, nie małmazję złotą...
A jeśli przy tym był też trochę głuchy
a na pasterkę wędrował piechotą...
bywało, łatwiej pod saniami życie
tracił, niż teraz, gdy msza jest o świcie.

Stanisław Śnieżek

HUMOR STAROPOLSKI

DO WALKA
Sam osobliwe stroje, sam masz dwory
sam masz dochody, sam nabite wory,
sam stawy, stada, zwierzyńce i gaje
Niepospolite sam masz obyczaje
sam i naukę dla inny[illegible]akrytą
żonę masz tylko z nam[illegible]ospolitą.

ŻONA MYŚLIWEMU MĘŻOWI (sonet)
Kto się wprzód w dzikiej zakochał zdobyczy
i począł straszyć niedościgłe łanie;
Kto wprzód ulubił i pole i szczwanie,
i pierwszy wywarł albo zemknął smyczy,

Kto tę uciechę, że mu pies skowyczy,
zmyślił, abo że nad przepiórką stanie,
kto trąb wymyślił zgiełk i polowanie
nic mu dobrego serce me nie życzy.

Bodaj był od swych, którymi mi szkodzi,
poległ ogarów, wśród szczekliwej zgraje.
Nie próżny gniew mój. Nie to mnie obchodzi,

że mi wesołe pustoszeją gaje,
że owsa siłę w osypkę wychodzi —
— ale że rano mąż ode mnie wstaje...

NA TRAF PEWNY
Wczoraj u gładkiej dziewczyny na wierzchu białej pierzyny
widziałem serc naszych mękę, białą i śniegową rękę;
Szyję mleczną, usta krwawe, włos złoty, oko łaskawe.
A co niżej szyi [illegible]yło, zazdrościwe płótno kryło.
Rzekłem: „Nap[illegible]my tym wzroki, to oczu naszych obroki,
Bo co zakrywa pierzynka to dla samego Morsztynka...“

O ANNIE
Chwali się stara Anna, że choć już nie młodą
nigdy nie szafowała darmo swą urodą.
Kto się o tę założy prawdę — nie utraci,
bo gdy ją obłapiają ona zawsze płaci!

DO STRYJA
Zdrowy nic mi [illegible]e dajesz, po tobie dziedziczę,
[illegible] musisz wiedzieć, czegoć życzę.



— *Przed ślubem nazywałeś mnie ptaszynką, skarbem, aniołem*
A teraz nie masz dla mnie nazwy?
— *Owszem, ale muszę się liczyć ze słowami...*

Rys. J. Paluch — Krak



— *Nie powinien pan jeść tak dużo. Pańskie zęby są kon*
nie starte.

Münchner Illustrierte



— *Widzisz*





Powyżej: Do białych dachów starych kamienic, do ośnieżonej attyki i gzymsów sukiennic, przyłączyły się białe dachy straganów, kryjących choinkowe cuda. Tylko dostojna, wyniosła ratuszowa wieża patrzy na wszystko obojętnie przygaszoną czerwienią swych murów.

Profesor Stanisław Szwarc przy prasie graficznej.

Poniżej: A ileż uroku ma zimą zaułek koło Muzeum Czartoryskich!

U dołu: Spod gotyckiego sklepienia Floriańskiej bramy otwiera się przewspaniała perspektywa na zaśnieżoną ulicę Floriańską i majaczące mgliste sylwety wieżyc Mariackiego kościoła.



Na lewo u dołu: Przez ośnieżoną koronkę czarnych gałęzi nad białymi dachami przegląda brama Floriańska.

U dołu: Od przebijającej spod śnieżnego okrycia ciemnej masy pomnika odbija delikatna, zda się eteryczna gotycka koronka drzew a nad nimi w mgle zimowego mroźnego dnia majaczą sino smukłe wieże wawelskiej katedry.

Poniżej: Białe koronki krzewów obramowują pustą zaśnieżoną aleję, a w mroźnej mglistej dali rysuje się gotycka sylweta Dominikanów.



…na z pór roku nie ma w sobie tyle uroku, co zima … murach Starego Krakowa. Biała ziemia, bezlistne …nione drzewa plant, polukrowane śniegiem dachy …ymsy starych murów w zestawieniu z ich pełną …yny wieków przygaszoną czerwienią i szarością, dają …apomniane wrażenie czarno-białej baśni. Stare czci…ę gmachy krakowskie, otulone śnieżną pierzyną …akieś bardziej rzeźkie, jakby odmłodzone, występ…ąc z otoczenia jakoś wyraźniej, czyściej i okazalej. …leż architektonicznych szczegółów, dopiero zimą, …kreślonych śniegiem ukazuje się oku! Ileż nowych …pektyw dają bezlistne, niezasłaniające widoku …wa plant, których gałęzie pokryte szronem i śnie… …worzą najcudowniejszą gotycką koronkę.

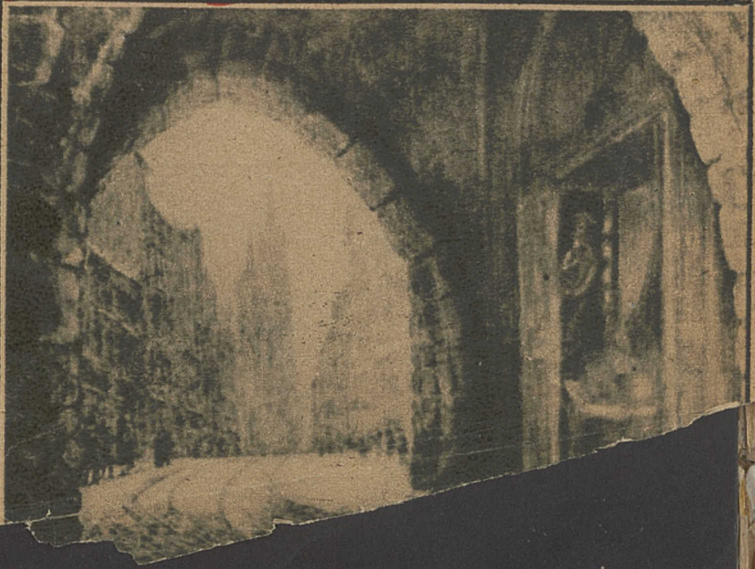
Ten urok krakowskiej zimy zakiął niedawno w biało czarne barwy grafiki znany krakowski artysta Stanisław Szwarc. Uczeń takiego mistrza i propagatora grafiki jakim był Wyczółkowski, wczuł się Szwarc jak nikt przed nim w charakter krakowskiej zimy. Nie zrażony mrozem zimowych dni, ani sypiącą w oczy śnieżną zadymką, a tylko zapatrzony w tętniącą całą skalą tonów baśń zimową, tworzył wytrwale szkice z natury, które przeniesione na litograficzny kamień dały początek przepięknej tece autolitografii pt. „Stary Kraków zimą". Szwarc jest prawdziwym mistrzem grafiki. Spod jego prasy graficznej, odziedziczonej po wielkim Wyczółkowskim, wyszły prawdziwe cuda biało-czarnej magii, jaką jest grafika, ta najmłodsza gałąź plastyki.





Reprodukcje powyższych prac …aczone przez …

STARY KRAKÓW ZIMĄ



Tekst i fot. W…